

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



SPIS TREŚCI – GRUDZIEŃ 2025

Z NASZEGO REGIONU

Stare kamieniołomy na Pogórzu Izerskim	<i>Krzysztof Gdula</i>	3
Cysterskie kamienie graniczne z grzbietu Gór Kruczych – podsumowanie cyklu	<i>Marian Gabrowski</i>	6
Drugowojenna fabryka części lotniczych Heinza Wendta w Lubawce	<i>Marian Gabrowski</i>	9
Pomnik Johanna Carla Gottlieba Oeflera z Janowic Wielkich zamordowanego w okolicy Radomierza 20 lutego 1828 roku	<i>Ulrich Junker</i>	15
Barokizacja na Dolnym Śląsku (8)	<i>Edmund Catus</i>	17
Witraże wrocławskich kościołów (3)	<i>Danuta Lesiów, Martyna Michniewicz, Tomasz Lesiów</i>	21
Z krańca Sudetów w głąb Karpat. Trasa Odry – Gorlice (2)	<i>Bartosz Skowroński</i>	26

CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wysłouch</i>	30
--------------------------	-----------------------------------	----

OJCZYSTE SZLAKI

Żegiestów Zdrój wraca do życia	<i>Juliusz Wysłouch</i>	31
Książęcy ogród sztuk zakwitł w Muzeum Śląska Opolskiego	<i>Maciej Mischok</i>	33
Niechciane „dziecko” z Turawy	<i>Maciej Mischok</i>	35

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Sprawdź, zanim pojedziesz w góry	<i>Juliusz Wysłouch</i>	37
--	-----------------------------------	----

GLOBTROTER

Kamenz i jego najpiękniejsze ozdoby	<i>Krzysztof Tęcza</i>	38
Alpy (4) – z Forclaz przez Col de Balme do Tre le Champ	<i>Krzysztof Tęcza</i>	41
U wylotu Rodanu (4)	<i>Mirosław J. Barański</i>	43
Małe Polesie	<i>Janusz Fuksa</i>	48

26. SPOTKANIE ŚLADOWE „NA SZLAKU”	<i>Juliusz Wysłouch</i>	47
---	-----------------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

44. spacer historyczno-krajoznawczy – do I LO w Jeleniej Górze	<i>Krzysztof Tęcza</i>	49
Tydzień z muzeum – dzień czwarty	<i>Krzysztof Tęcza</i>	52
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (54)	<i>Józef Sykulski</i>	54

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Spotkanie z Rafałem Fronią	<i>Krzysztof Tęcza</i>	55
Ojciec geologii polskiej	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	58
Ku pamięci Jerzego Wilhelma, księcia legnicko-brzesko-wołowskiego	<i>Maciej Mischok</i>	60

RECENZJE I NOWOŚCI

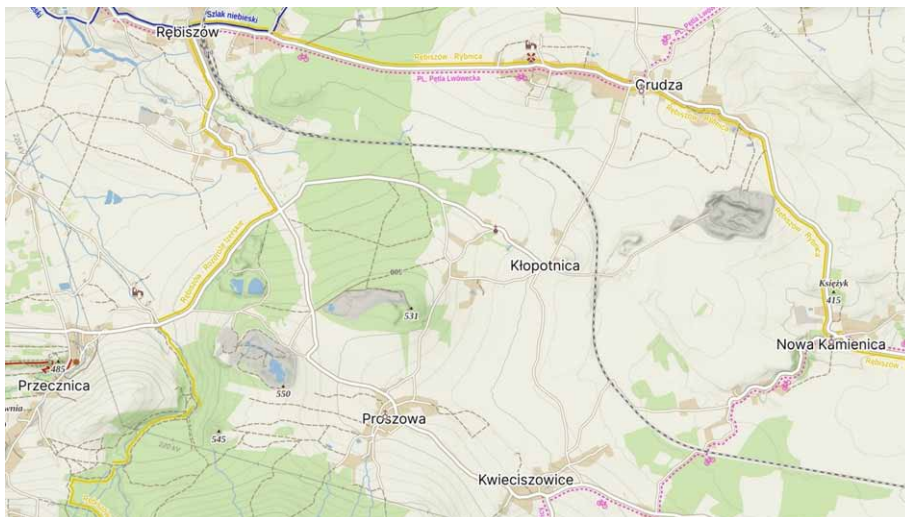
Oczekiwana niespodzianka dla miłośników architektury rezydencjonalnej!	<i>Maciej Mischok</i>	62
---	---------------------------------	----

SUDETY W POEZJI (36)	<i>Roman Drahan</i>	64
--------------------------------	-------------------------------	----

Na okładce: Na Jarmarku Bożonarodzeniowym we Wrocławiu. Fot. Piotr Dacko

Stare kamieniołomy na Pogórzu Izerskim

Bazalt jest jedną z najtwardszych, najbardziej odpornych na obciążenia mechaniczne i czynniki atmosferyczne skał, dlatego od dawna był dobywany i używany do budowy, głównie dróg i murów. Istnienie złóż bazaltu świadczy o działających w przeszłości wulkanach, jako że skała ta powstaje z magmy wylewającej się z wnętrza Ziemi i stygnącej na powierzchni jako lava. Dla lubujących się w nazewnictwie geologów to ważne rozróżnienie: magma to roztopiona skała wewnątrz Ziemi, a po wypłynięciu na powierzchnię nabywa nową nazwę, staje się lawą. W Sudetach wiele jest działających kopalń tego minerału, a śladów po dawnych kamieniołomach są, bez przesady, setki. Od wielkich wyrobisk, z których wywieziono miliony ton skały, po małe, użytkowane przez lokalnych mieszkańców na ich potrzeby, a teraz zarośniętych drzewami, ukrytych w lasach. Wiele takich miejsc widziałem w czasie swoich sudeckich wędrówek. Czasami specjalnie ich szukałem, zaciekawiony znakami na mapie, częściej natrafiałem na nie przypadkowo, idąc lasami lub zaglądając między drzewa śródpolnych zagajników. Po tych małych i najstarszych niewiele śladów zostało, czasami tylko uważne oko jest w stanie zauważyć nienaturalnie ukształtowane garby i doły przysypane liśćmi starego już lasu, natomiast większe i nowsze nie znikają tak dokładnie, chociaż i one ulegają sukcesji. Mam w pamięci chwile wędrówek lasami dębowo-grabowo-lipowo-bukowymi, prastarymi lasami liściastymi Sudetów, i nagle pojawiający się uskoki terenu – skalne urwisko. Jeśli poświęci się miejscu



Kamieniołom na północ od Proszowej, staw i ściana wyrobiska



Kamieniołom na północ od Proszowej, staw

trochę czasu, dostrzec można często spotykany kształt podkowy ze śladami drogi z otwartej strony. Czasami o jej istnieniu świadczy już tylko równiejszy pas porośnięty drzewami. Miejsca takie upodobały sobie rzadkie rośliny, na przykład storczyki, że wspomnę tylko Storczykowy Kamieniołom pod Nowymi Rochowcami w Górach Kaczawskich. Pod tą wioską znam, nota bene, inne miejsce, nieznanne ludziom, gdzie rośnie mnóstwo lilii złotogłów, ale uświadomiony przez kolegę, miłośnika storczyków, o niebezpieczeństwie dla tych nadzwyczaj rzadkich kwiatów nie napiszę, jak tam trafić.

Najdłużej, ale i najbardziej spektakularnie, zmienia się w sposób naturalny wyrobiska największe i najgłębsze. Na ich dnach często tworzą się stawy – rezultaty naruszenia systemu wód gruntowych. Jeszcze nim znikną ludzie, pojawiają się brzozy. Tym drzewom wystarczy garść marnej ziemi, a nawet tylko pęknięcia w skalnym podłożu albo rysy na pionowym urwisku. Później dołączają do nich inne drzewa, sporo widuję dębów, a w podmokłych miejscach iwy. Brzozy zarastają szuwarami: pojawia się pałka wodna, trzcina, trawy. Z czasem te rośliny wchodzi coraz głębiej na otwartą toń stawów, a za nimi przesuwa się skraj wody – rezultat długiego okresu wypierania wody przez rośliny i ich martwe szczątki tworzące najpierw mokradła, później coraz bardziej stabilny grunt, na którym wyrasta las. Z czasem stawy zasiedlane są przez ryby (zdaje się, że z pomocą ludzi) i ptactwo wodne. W ciągu paru dziesiątków lat z ponurego miejsca przemysłowej działalności ludzi, z głębokich ran zadanych Ziemi, natura tworzy miejsca urokliwe, urozmaicone morfologicznie i pełne życia.

Na Pogórzu Izerskim, między Przecznicą a Nową Kamienicą, pasem długości około dziesięciu kilometrów występują duże złoża bazaltu. Było tam kilka kamieniołomów, a wyrobisko największego, 2 km na wschód od wsi Kłopotnica, ma długość 400 metrów, do stu szerokości i głębokość około pięćdziesięciu. Na dnie utworzył się malowniczy staw otoczony stromymi, tarasowymi ścianami szarego bazaltu. Widok tej kopalni czyni wielkie wrażenie. Wydaje



Kamieniołom na wschód od Kłopotnicy, pęknięcia w bazaltowej ścianie



Kamieniołom na wschód od Kłopotnicy, staw



Kamieniołom na wschód od Kłopotnicy, widok ogólny

się być snem surrealisty, zadziwiającym połączeniem skutków destrukcyjnych działań człowieka i delikatności oraz jednocześnie siły i niestępliwości natury. Rozmawiałem z kolegą, który wybrał się tam z pontonem, opowiadał o niesamowitych wrażeniach pływania między skalnymi ścianami. Zwraca uwagę szybkość pojawienia się tam brzoź; o tej porze roku ciepłe żółcie ich liści radykalnie zmieniały wygląd surowych ciemnoszarych ścian kanionu. Co prawda, wyrobisko kanionem nie jest, jednak ta nazwa bardzo pasuje do formacji tam utworzonej działalnością ludzi i natury. Na ścianach widać kierunkowość stygnięcia i pęknięcia lawy zastygłej w bazalt. Wyrażne jest podobieństwo do róży bazaltowej – kolejna atrakcja dla miłośników geologii. Widać, jak szybko teren sam się rekultywuje. Jedyne, co zrobiłbym, mogąc decydować, to zniwelował górkę usypaną na obrzeżach wyrobiska.



Kamieniołom na wschód od Kłopotnicy, wielki staw

Byłem w czterech nieczynnych kamieniołomach w tamtej okolicy. Widziałem je w różnym stadium przemowienia i przekształcania przez naturę, a pokrótce opisanego wyżej. W trzech nie były prowadzone poważne prace rekultywacyjne, nikt na szczęście ich nie „rewitalizował”, zrobiła to natura i to tak udanie, że okolicznym mieszkańcom przybyły kolejne ładne miejsca do spacerów, a chyba też kąpieli i wędkowania. O ile oczywiście nie ogrodzi się tych miejsc setkami metrów barier i nie zepsuje widoków dziesiątkami tablic z ostrzeżeniami i zakazami, co mam za plagę ostatnich lat.

Ostatni poznany kamieniołom jest na wschód od Przeczniczy, na tablicy informacyjnej określony jako kamieniołom w Rębiszowie, ten był rekultywowany, niestety. Niewielka część jest wyrównana, na pozostałej są górkę i dołki. Ponury widok poprzemysłowych bezdrzewnych terenów, chwasty i podmokłe miejsca. Zmieniające się lokalizacje rozlewisk wskazują na nieuregulowany obieg wód. Okoliczni mieszkańcy mówią o skrytym, pod ochroną nocy i strażników, przywożeniu tam nieznanymi substancjami i zasypywaniu nimi wyrobisk, a następnie przykrywaniu ich gruzem. Miały tam być utworzone łąki izerskie, jest szarość i brzydotta, a firma, która miała przywrócić to miejsce naturze, już nie istnieje. Wystarczyło wyrównać doły, zniwelować przemy gruzu, rozebrać budynki i zabrać śmieci, a resztę zostawić naturze, jednak za publiczny grosz stan pogorszone.

Wspomnę jeszcze o motocyklistach. W wielu miejscach widziałem ślady ich maszyn, a w pobliżu największej kopalni, tej z dużym stawem, jest spory teren z okazałymi górami zepchniętego kruszywa i ziemi, walają się tam duże bloki skalne, stoją betonowe konstrukcje. Z niechęcią o tym myślę, ale skoro motocykliści są, niech tam jeżdżą, nie po lasach. Wydzierzawić im ten poprzemysłowy teren za symboliczną złotówkę, ale pod jednym warunkiem: mają pilnować, aby ich miejsce i sąsiednie wyrobisko nie stały się wysypiskiem śmieci. A za jeżdżenie po lasach surowo ich karać.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

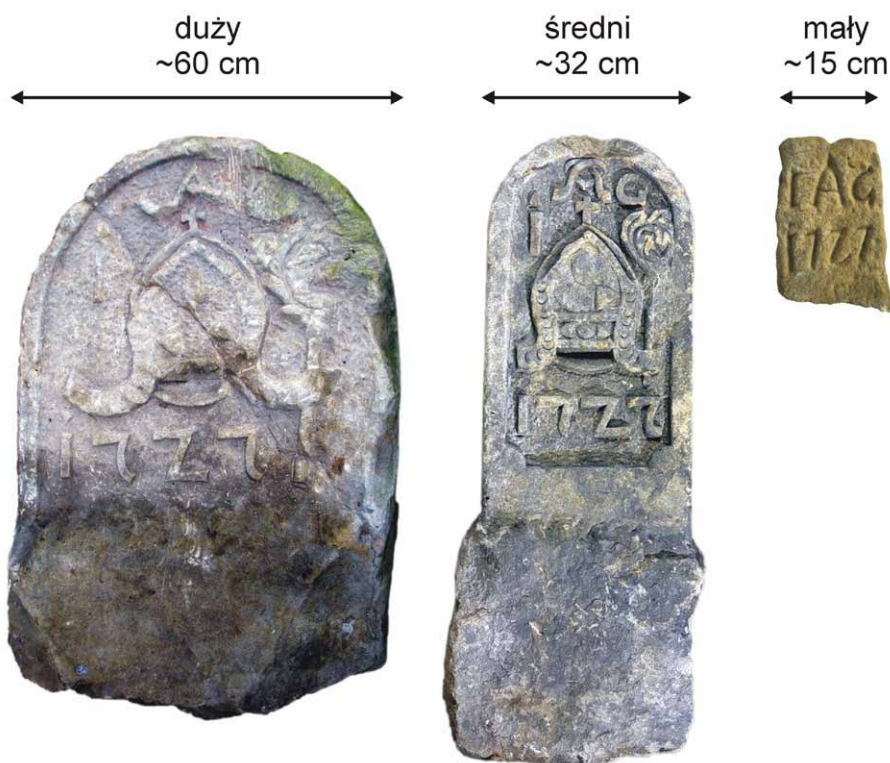
Krzysztof Gdula

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Cysterskie kamienie graniczne z grzbietu Gór Kruczych – podsumowanie cyklu

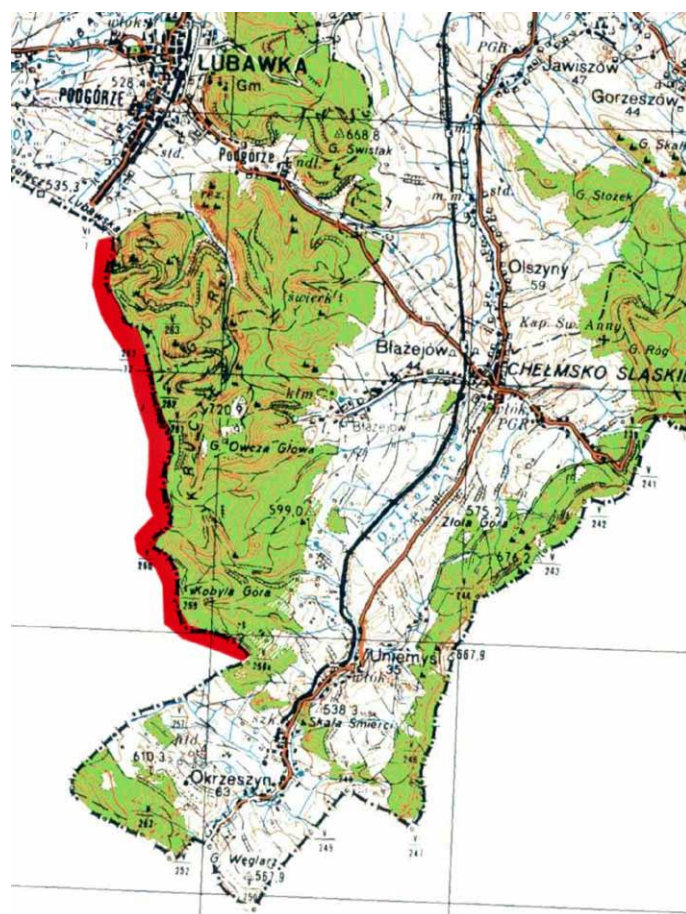
W ostatnich numerach pisma „Na Szlaku” opisałem kilkanaście zabytkowych kamieni granicznych. Wszystkie one niegdyś znajdowały się na grzbiecie Gór Kruczych, gdzie pierwotnie wyznaczały kres dóbr cystersów z Krzeszowa, a jednocześnie początek dóbr jezuitów z czeskiego Žacléřa. Kiedy ustawiano je tu w 1727 roku, rozdzielały one nie tylko ziemie klasztorne, ale również dwie części monarchii habsburskiej: Królestwo Czech i Śląsk. Później w tym samym miejscu przebiegały granice państwowe: austriacko-pruska, czechosłowacko-niemiecka, czechosłowacko-polska, a dziś czesko-polska.



Porównanie wielkości kamieni z Gór Kruczych. Zdjęcia: Marian Gabrowski

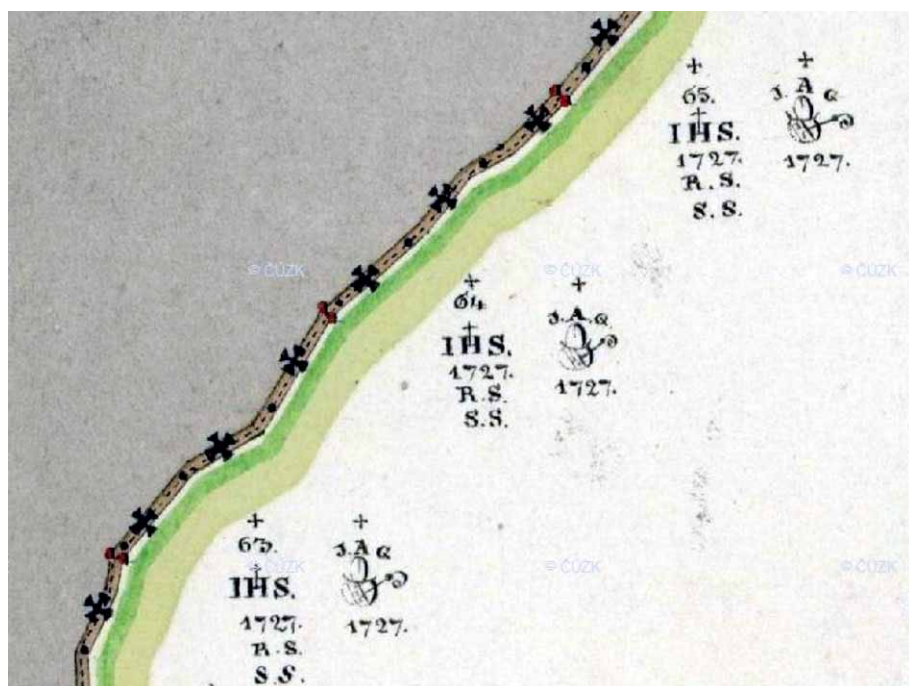
Tabela 1. Kamienie graniczne z Gór Kruczych

Lp.	miejsowość i lokalizacja	wielkość	numer	opis w piśmie „Na Szlaku”
1	Chełmsko Śląskie ul. Sądecka	duży	517	nr 4/2025
2	Lubawka – Podlesie przed pałacem opackim	duży	526	nr 8/2025
3	Lubawka – Podlesie przed kościołem	średni	544	nr 7/2025
4	Lubawka – Podlesie przed kościołem	średni	545	nr 7/2025
5	Lubawka – Podlesie przed pałacem opackim	duży	550	nr 8/2025
6	Lubawka – strażnica (kamień zaginiony)	średni	561	nr 11/2025
7	Krzeszów ogród klasztorny	średni	562	nr 1/2025
8	Krzeszów ogród klasztorny	średni	565	nr 1/2025
9	Krzeszów Mauzoleum Piastów	średni	571	nr 12/2024
10	Krzeszów klasztor	duży	572	nr 2/2025
11	Lubawka Krucza Dolina	średni	582	nr 9/2025



Zaznaczony na czerwono odcinek granicy, na którym niegdyś znajdowały się zakonne kamienie graniczne

12	Žaclěř muzeum	średni	583	nr 11/2024
13	Kamienna Góra muzeum	średni	593	nr 10/2024
14	Lubawka szkoła podstawowa	średni	596	nr 3/2025
15	Kamienna Góra muzeum	mały	-	nr 8/2024
16	Bolków lapidarium zamkowe	średni	-	nr 5/2025
17	Lubawka granica państwowa	średni	-	nr 10/2025



**Podwójne znaki na granicy austriacko-pruskiej,
widoczne na mapie z 1841 roku**

Najstarszą znaną mi archiwalną wzmiankę o znajdujących się tu kamieniach granicznych przywołuje Przemysław Wiszewski, który w jednym ze swoich tekstów wspomina o przeprowadzonym w 1739 roku rozgraniczeniu dóbr zakonnych¹. Dla oznaczania przebiegu granicy w okolicach Okrzeszyna i Uniemyśla wykorzystywano wówczas wcześniejsze kamienie, które nosiły ryty po poprzednich rozgraniczeniach, w tym niejednokrotnie nie tylko krzyż, ale również i herby. Niektóre z nich określano mianem „kamień główny”, „duży” lub „podwójnej wielkości”. Ponieważ w innym miejscu mowa jest też o „średnich kamieniach”, toteż zapewne musiały istnieć również kamienie małe.

Także graniczniki zachowane do dziś możemy podzielić ze względu na ich wielkość: większość z nich to kamienie średnie, cztery to kamienie duże, natomiast tylko jeden zasługuje na miano małego.

Z kolei najstarszymi znanymi mi dokumentami informującymi o dokładnej lokalizacji tych słupków są austriackie mapy katastralne z 1841 roku. Wynika z nich, że zakonnymi kamieniami oznaczono przebieg granicy jedynie na grzbiecie Gór Kruczych. Odcinek ten miał 7,5 km długości, zaczynał się od charakterystycznego naroża pomiędzy Uniemyślem i Okrzeszynem, a kończył wraz z granicą lasu na Przełęczy Lubawskiej. Zamieszczona na



Słupki graniczne po obu stronach ścieżki granicznej

mapach katastralnych numeracja kamieni pozwala stwierdzić, że ustawiono je w stu punktach, czyli średnio co 75 m. Przy większości z nich ujrzymy również umieszczone z boku opisy, z których wynika, że miały one wyryte oznaczenia znane z kamieni zachowanych do dziś. Dodatkowo widać też wyraźnie, że niemal wszystkie słupki ustawiane były parami, po obu stronach drogi granicznej.

Właśnie tak przedstawiał to również Fritz Vöcks, który w swoim artykule z 1934 roku zachęcał do wędrówki drogą graniczną, gdzie jego zdaniem na szczególną uwagę zasługiwały znaki graniczne:

Na tej ścieżce granicznej co 50 metrów wędrowiec napotyka po każdej stronie drogi duże kamienie graniczne. Kamienie na niemieckiej, północnej stronie ścieżki ukazują mitrę opaską z pastorałem, datę 1727 i litery I.A.G. (Innozentius Abbas Grissoviensis). Na czeskiej, południowej stronie, znajdują się kamienie graniczne z oznaczeniami Towarzystwa Jezusowego, to jest zwieńczone krzyżem JHS. Ponadto pierwsze litery dominium żacléřskiego RSSJ (Residentia Schatzlariensis Societas Jesu) i datę 1727. Kamienie te można znaleźć od początku granicy Okrzeszyna, aż do góry Královecký Špičák koło Lubawki².

W opisie tym nieco zaskakują zwroty sugerujące, jakoby granica oddzielała ziemie leżące na północy i południu, bo przecież akurat na tym odcinku biegnie ona nie równoleżnikowo, lecz południkowo.

Co ciekawe, wspomniane tu podwójne oznakowanie w dalszym ciągu bywa stosowane na granicy polsko-czeskiej, a współczesna umowa graniczna stwierdza, że podwójne znaki umieszcza się między innymi na początku i końcu wspólnych granicznych dróg³. Tego typu pary słupków znajdziemy również na grzbiecie Gór Kruczych, gdzie ścieżka graniczna biegnie pomiędzy dwoma kamieniami, których numer kolejny uzupełniony jest literami „a” i „b”.

Niemal na każdym z przeniesionych z granicy kamieni wyryte są trzycyfrowe numery. Ponieważ miejsce ustawienia tak opisanych słupków granicznych znajdziemy na przedwojennych mapach, toteż możemy dziś ustalić ich pierwotną lokalizację. Niektóre zaś słupki nie zostały przeniesione i po ich przekuciu w dalszym ciągu pełnią swoją pierwotną funkcję.

Niniejszy artykuł zamyka serię tekstów o kamieniach granicznych bądź to pochodzących z grzbiecie Gór Kruczych, bądź to stojących tam po dziś. Choć opisałem w nich wszystkie znane mi tego typu zabytki, to mam jednak nadzieję, że w przyszłości uda się odnaleźć kolejne słupki pochodzące z tego odcinka granicy.

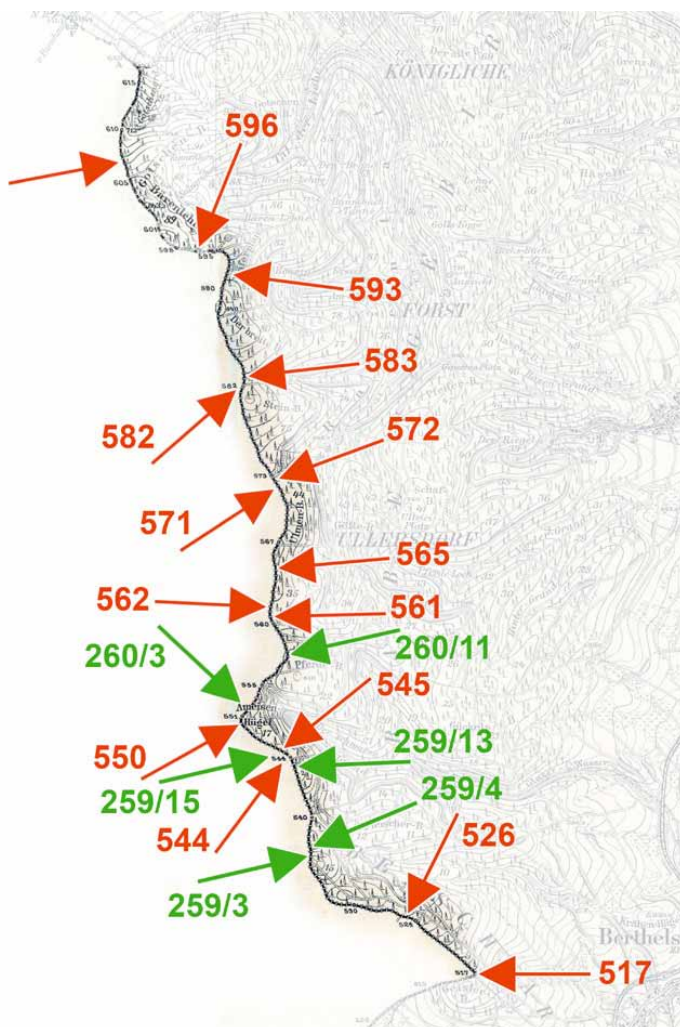
Marian Gabrowski

Przypisy

1 P. Wiszewski, *Wyobrażenia i przedstawienia okolic Chełmska Śląskiego i Lubawki (XIII-XVIII w.)*, [w:] „Gmina Lubawka. Atlas materiałów i źródeł historycznych”, Wrocław 2015, s. 10.

2 F. Vöcks, *Auf alten Pfaden*, [w:] „Der Wanderer im Riesengebirge”, nr 10/1934, s. 171.

3 *Umowa między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Czeską sporządzona w Pradze dnia 17 stycznia 1995 roku*, Dziennik Ustaw 1996, nr 46 poz. 205.



Biegący grzbiecie Gór Kruczych odcinek granicy z lokalizacją kamieni przeniesionych (strzałki czerwone) oraz stojących tam do dziś (strzałki zielone). Nieopisana numerem i najbardziej wysunięta na północ strzałka wskazuje miejsce odnalezienia jednego małego kamienia

Drugowojenna fabryka części lotniczych Heinza Wendta w Lubawce

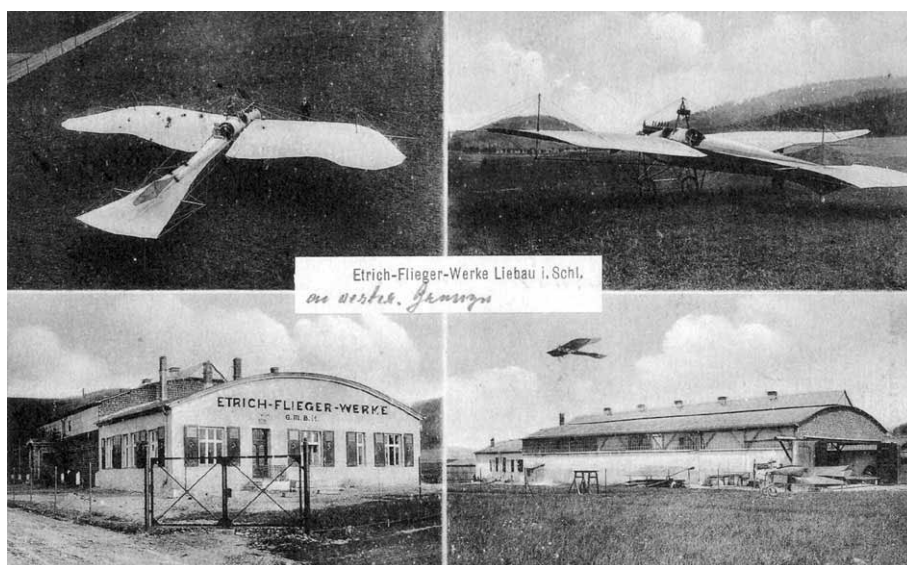
Choć dziś przygraniczne miasteczko Lubawka nie kojarzy się z produkcją samolotów, to wiele publikacji opisujących historię miasta wzmiankuje o lotniczych epizodach tutejszego przemysłu. Zazwyczaj wspomina się o uruchomionym jeszcze przed pierwszą wojną światową zakładzie Etrich Flieger-Werke produkującym samoloty, ale można napotkać też informacje o wytwarzanych tu w latach powojennych szybowcach. Jednak niemalże nie sposób natrafić na dokładniejszy opis zakładów z okresu drugiej wojny światowej, które również zajmowały się produkcją części lotniczych.

W tym artykule chciałbym skupić się na funkcjonującej w Lubawce firmie Heinz Wendt. Fabryka ta w wielu opracowaniach wymieniana jest jako jeden z trzech zakładów zatrudniających więźniarki z FAL Liebau, czyli tutejszego kobiecego obozu pracy będącego filią KL Gross-Rosen. Jednak o ile sam fakt funkcjonowania tego zakładu jest powszechnie znany, to zazwyczaj brak bliższych informacji na jego temat.

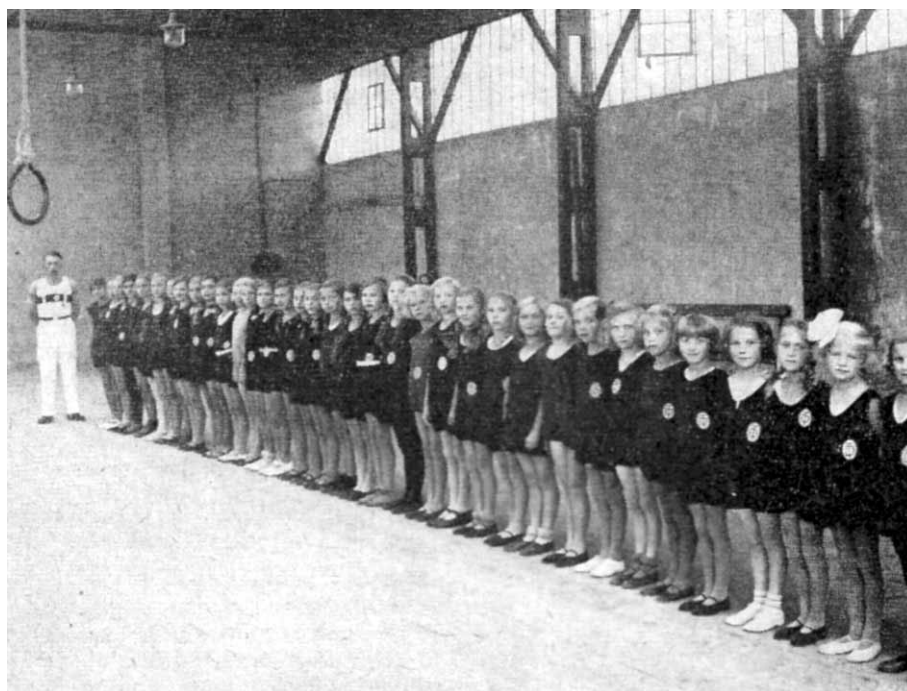
Dlatego też z dużym zainteresowaniem przeglądałem niegdyś w jeleniogórskim oddziale Archiwum Państwowego jednostki przechowywane w zespole „Akta miasta Lubawki”, gdzie zachowały się liczne dokumenty pozwalające poznać wiele bardzo interesujących, a dotychczas niepublikowanych szczegółów dotyczących działalności tego zakładu.

Jednak najpierw cofnijmy się do czasów drugiej wojny światowej, kiedy to w pewnym momencie alianckie lotnictwo zaczęło skutecznie bombardować niemieckie zakłady przemysłowe. Pospiesznie starano się wówczas przenieść możliwie jak największą liczbę firm produkujących uzbrojenie w lokalizację znajdującą się poza zasięgiem wrogich bombowców, a takim właśnie miejscem był Dolny Śląsk, w tym i miasto Lubawka. Ewakuowane firmy lokowano nie tylko w miejscowych fabrykach, ale też w każdym innym zdającym do tego celu obiekcie.

Szybko zainteresowano się lubawską halą sportową. Budynek ten wybudowano jeszcze przed pierwszą wojną światową na potrzeby fabryki samolotów Etrich Flieger-Werke.



Pocztówka ukazująca Etrich Flieger-Werke, czyli lubawską fabrykę samolotów. Zdjęcie: polska-org.pl



Dzieci w przedwojennej sali gimnastycznej, mieszczącej się w dawnej hali lotniczej. Zdjęcie: kreisladeshut.de

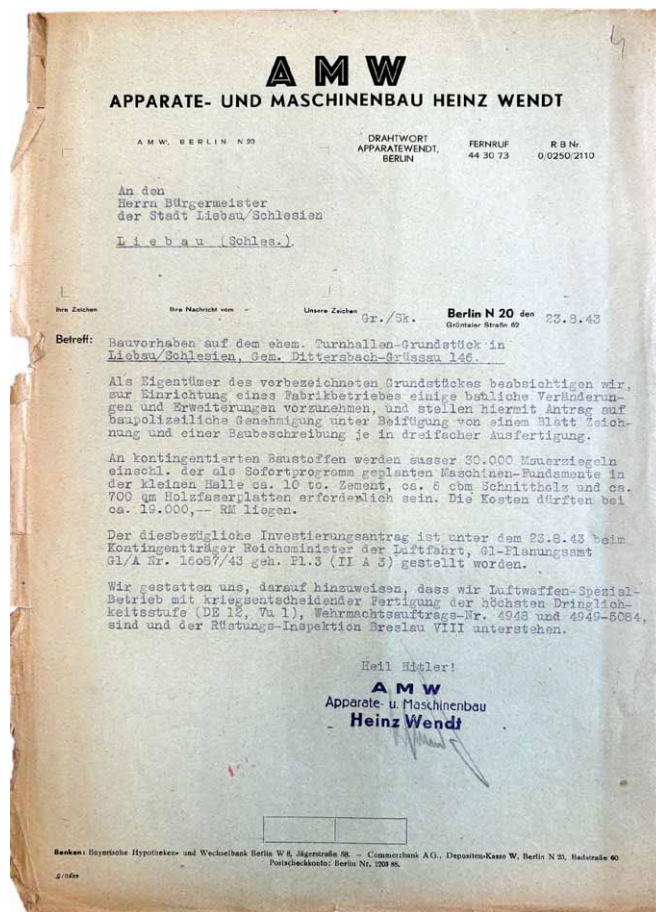
Wytwórnę wkrótce zamknięto, a pozostałe po niej zabudowania w pewnym momencie zostały zakupione przez miasto. W latach międzywojennych obiekt zaadaptowano na obszerną halę sportową. Jednak w czasie wojny produkcja uzbrojenia była ważniejsza od ćwiczeń młodzieży.

W lutym 1943 roku przedstawiciel rejencji legnickiej przybył do miasta z przemysłowcem, właścicielem fabryki „Johannes Wendt Werkzeugmaschinenfabrik” z Lübben, aby znaleźć obiekt, do którego można przenieść jego zakład z branży produkcji maszyn i urządzeń. Przeprowadzone oględziny wykazały, że nadaje się do tego celu budynek hali sportowej¹. Radni szybko zgodzili się na sprzedaż obiektu, co burmistrz zatwierdził, zauważając, że „korzystne wydaje się oddanie hali sportowej firmie Wendt na sprzedaż, zwłaszcza że dla celów sportowych jest ona położona niedogodnie”². Zabudowania wraz z działką sprzedano w maju 1943 roku, nabywcą był Heinz Wendt, właściciel firmy „Apparate und Maschinenbau Johannes Wendt, Berlin N 20, Grüntalerstrasse 62”³. W połowie następnego miesiąca przedsiębiorstwo zmieniło nazwę na „AMW Apparate- und Maschinenbau Heinz Wendt”⁴.

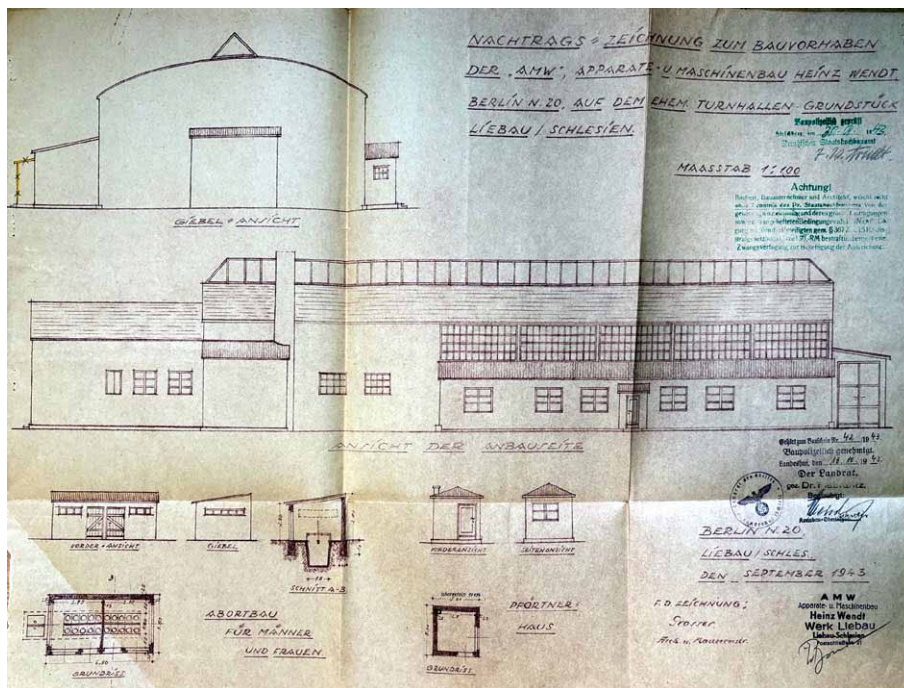
Sprzedaż hali sportowej usiłowały oprotestować kamiennogórskie struktury Hitlerjugend. Twierdzono, że dzieci nie będą miały gdzie ćwiczyć, a przecież zdaniem partii sport jest ważny dla wojny⁵. Jednak burmistrz odpisał, że spróbuje wynająć na ten cel albo salę w restauracji Rübezahl albo w dawnym domu gwarectwa, gdzie młodzież ćwiczyła już wcześniej⁶.

W czerwcu firma Wendt zwróciła się do miasta z prośbą o możliwie szybkie opróżnienie hali, gdyż chciała przystąpić do prac związanych z przygotowaniem fundamentów, zapewne pod mające tu trafić obrabiarki; pytała również o możliwość zapewnienia zasilania elektrycznego o mocy 75 kW⁷. W odrębnym piśmie prosiła też o znalezienie w zajazdach i kwaterek prywatnych mieszkań dla przenoszonych pracowników, przy czym dla kierownika zakładu, pana Güntera, zażyczone sobie mieszkania z trzema lub czterema pokojami. Natomiast pięćdziesięciu robotników zagranicznych planowano zbiorowo zakwaterować w sali gospody⁸ Forelle⁹.

W sierpniu firma Wendt złożyła wniosek o wydanie pozwolenia na dokonanie zmian konstrukcyjnych hali oraz jej rozbudowę. Jak wynika z zachowanych rysunków i opisów, oprócz odmiennego zagospodarowania poszczególnych pomieszczeń planowano też dobudować do hali ciąg zawierający szatnię, narzędziownię



Pismo informujące o zapotrzebowaniu na materiały niezbędne do rozbudowy fabryki. Źródło: AP Wrocław



Jeden z planów załączonych do wniosku o wydanie pozwolenia na budowę. Źródło: AP Wrocław

i dział kontroli, a także wolnostojącą portiernię oraz toaletę dla kobiet i mężczyzn, z której jednocześnie mogło korzystać 20 osób. Poza tym obok zamierzano wznieść barak gospodarczy przeznaczony na miejsce zakwaterowania 160 osób¹⁰. Zgłoszono też pilne zapotrzebowanie na 30.000 cegieł, tarcicę, płyty pilśniowe oraz 10 ton cementu potrzebnego na fundamenty pod maszyny¹¹. Zakład rozpoczął produkcję 15 września 1943 roku, w styczniu 1944 roku zatrudnił już 109 osób¹².

Po wojnie jedna ze skierowanych tu przez urząd pracy Niemek zeznała, że do września 1944 roku pracowała w firmie Wendt jako robotnica. Razem z nią zatrudniano tu obcokrajowców z Holandii, Czech, Francji i Polski¹³.

W 1944 roku Niemcy założyli FAL Liebau, kobiecy obóz pracy będący filią KL Gross-Rosen. W dwóch transportach przywieziono tu 500 Żydówek z KL Auschwitz, które następnie zmuszono do niewolniczej pracy w pobliskich zakładach zbrojeniowych. Firmie Wendt 50 więźniarek przydzielono we wrześniu 1944 roku, kolejne 50 w połowie października¹⁴. Wszystkie pochodziły z Węgier, niektóre z nich były jeszcze dziewczynami w wieku 16 i 17 lat. Warto w tym miejscu dodać, że w archiwum Muzeum Gross-Rosen znajdują się listy pozwalające poznać imiona, nazwiska i daty urodzenia tych kobiet¹⁵. Z ich powojennych relacji wynika, że zakład działał dwadzieścia cztery godziny na dobę, na dwie zmiany, dzienną i nocną, od szóstej do szóstej. Razem z nimi pracowali tu również mężczyźni, mieszkający w mieście więźniowie z Holandii i Włoch¹⁶.

W styczniu 1945 roku, z powodu niebezpiecznie zbliżającej się linii frontu, zakłady Wendt zostały zdemontowane¹⁷ i niewątpliwie wywiezione w głąb Niemiec. Do końca wojny dotrwały jedynie zabudowania i grunty, które w 1946 roku przeszły na własność Skarbu Państwa. Informowało o tym zarządzenie Ministra Przemysłu¹⁸, gdzie firmę tę wymieniono pod nazwą „Heinz Wendt A. M. W. Apparate- und Maschinenbau Lubawa”, natomiast w rubryce „przedmiot działania” wpisano: „wyrób części do płatowców”. Budynek po dawnej fabryce samolotów dotrwał do początku XXI wieku, kiedy to zawalił się dach nad halą. Budowla została rozebrana, a do dziś zachował się jedynie komin fabryczny oraz dawna część biurowa.

Na koniec chciałbym jeszcze zastanowić się nad tym, co dokładnie firma Wendt produkowała w swojej lubawskiej fabryce. Aspekt ten jest bardzo interesujący, gdyż pozornie

K.L. - Gross Rosen
F.A.L. Liebau

Jüdinnen der Firma Wendt.

Lauf. Nr.:	Häftl. Nr.:	Name und Vorname:	Geburtsdatum:	Ort:	Beruf:	Nr.:
1.	74101	Apfel Sara Agnes	11. 6.25	Ungvar	Bäckerin	U.
2.	74102	Apfel Adel	3.12.06	Ungvar	dto.	U.
3.	74104	Blum Magda	24. 1.24	Kisorda	Haushält.	U.
4.	74105	Blum Erzsébet	19.11.26	Kisorda	dto.	U.
5.	74106	Dratler Klara	8.10.24	Kolozsvar	dto.	U.
6.	74107	Dratler Rozsi	17. 8.26	Kolozsvar	dto.	U.
7.	74108	Dratler Pepi	24. 1.22	Kolozsvar	dto.	U.
8.	74110.	Friedländer Erzsé	17.12.20	Ungvar	Näherin	U.
9.	74111	Friedländer Klara	15.12.24	Ungvar	dto.	U.
10.	74112	Friedl Mici	26. 4.17.	Viso	Haushält.	U.
11.	74113	Goldstein Berta	15. 8.06	Kolozsvar	dto.	U.
12.	74114	Goldstein Lenke	16.11.10	Kolozsvar	dto.	U.
13.	74115	Goldberger Iren	8. 3.09	Kolozsvar	dto.	U.
14.	74116	Goldberger Rosalia	13. 5.26	Kolozsvar	dto.	U.
15.	74117	Glückmann Magda	15. 5.28	Tiszadada	dto.	U.
16.	74118	Glückmann Sara	7, 5.26	Tiszadada	dto.	U.

Fragment listy obozowej wymieniającej więźniarki skierowane do pracy w firmie Wendt. Źródło: Archiwum Muzeum Gross-Rosen, sygn. MF-101-II-818, k. 71



Pozostałości po dawnej fabryce samolotów przy dzisiejszej ul. Mickiewicza w Lubawce, kwiecień 2025. Zdjęcie: Marian Gabrowski

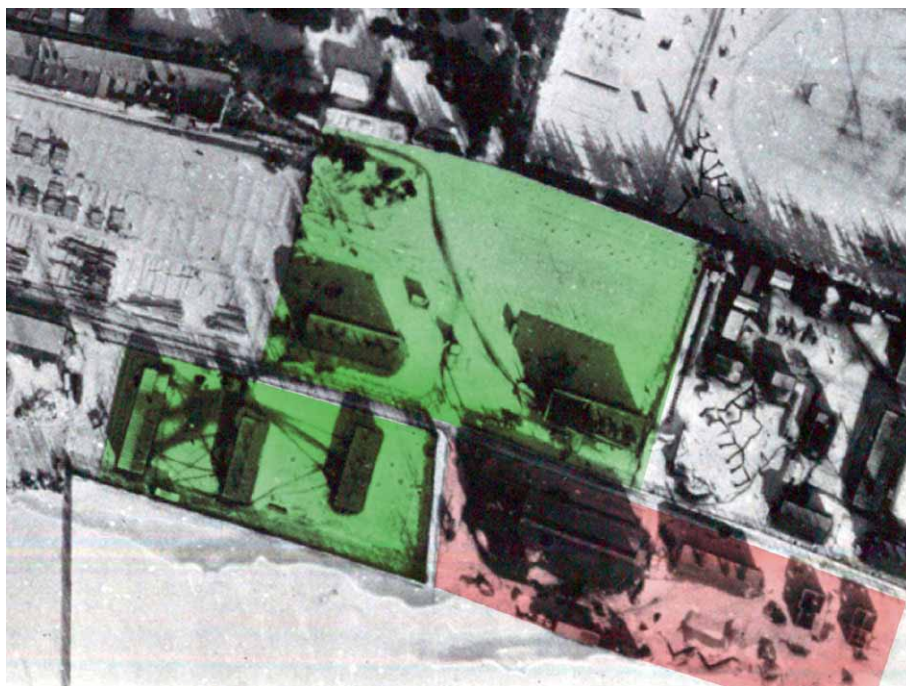
wyduje się, że odpowiedź na to pytanie powinniśmy znaleźć w licznych publikacjach wzmiankujących FAL Liebau. Jednak po analizie dostępnych opracowań zauważyłem, że choć wiele z nich informuje o tym, że firma Wendt produkowała części lotnicze, to tak naprawdę wszystkie one bezpośrednio lub pośrednio powołują się na jedno i to samo źródło. Mowa tu o wydanym w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku przez Międzynarodowe Biuro Poszukiwań w Arolsen wykazie obozów zarządzanych przez SS, gdzie pośród trzech zakładów zatrudniających więźniarki z FAL Liebau wymieniona jest „Firma Heinz Wendt, Maschinenfabrik”, której profil produkcji opisano jako „wytwarzanie części samolotów”¹⁹.

Ten właśnie wykaz Alfred Koniczny przywoływał w swoim artykule z 1982 roku, gdzie zawarł informację, że w „firmie Heinza Wendta produkującej części samolotowe” zatrudniono 100 kobiet z lubawskiego obozu²⁰. Na ten z kolei artykuł powołuje się prawie każde ze znanych mi współczesnych opracowań wspominające o firmie Wendt. Jednak niemalże nie sposób natrafić na inne opublikowane źródła informujące o prowadzonej tu produkcji lotniczej, oczywiście, poza wspomnianym już zarządzeniem z 1946 roku, którego jednak prawdopodobnie nikt dotychczas nie przywoływał.

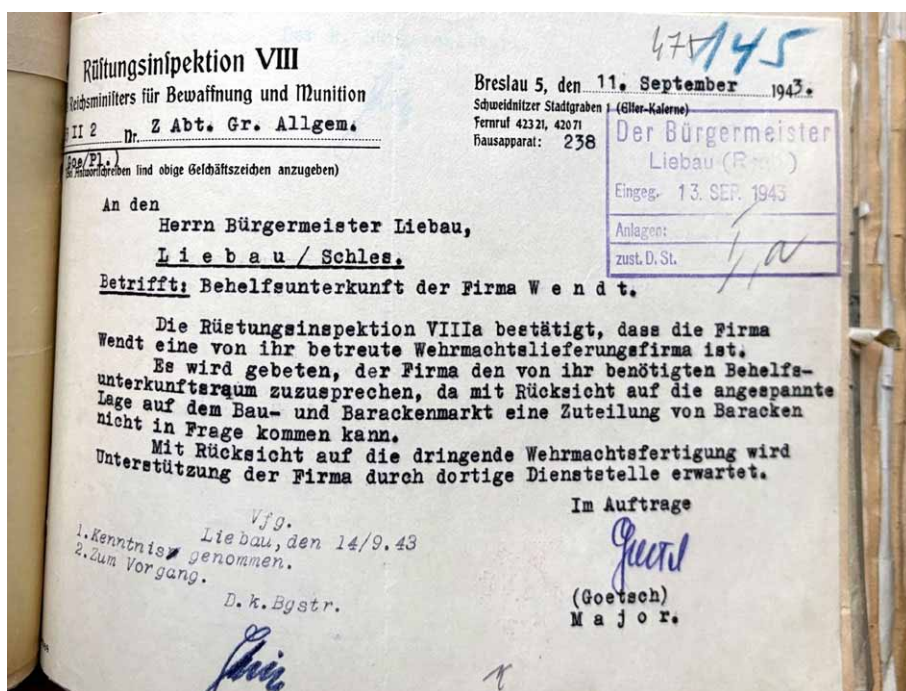
Warto się więc zastanowić, skąd badacze z Arolsen, największego na świecie archiwum dotyczącego ofiar i ocalałych z czasów nazizmu, wiedzieli o tym, co produkowała firma Wendt. Moim zdaniem, informacja taka zapewne pojawiła się w zeznaniach byłych więźniarek, które mogły wspominać, że pracowały w fabryce samolotów.

O tym, że taką właśnie nazwą określano ten zakład w obozie, świadczą protokoły z powojennych przesłuchań personelu SS. Dla przykładu jedna z dawnych strażniczek obozowych, Gertrud Scharf, w swoich zeznaniach nazwy „Wendt” i „fabryka samolotów” używała zamiennie²¹. Można podejrzewać, że również i więźniarki uznawały, że zakład Wendt był fabryką samolotów.

Jednak mogło być tak, że firma Wendt jedynie mieściła się w dawnej fabryce samolotów. Możliwość taką sugerują liczne dokumenty, które do dziś przechowywane są w jeleniogórskim archiwum. W kilku z nich, dotyczących bezpośrednio firmy Wendt, rzeczywiście pojawia się określenie „fabryka samolotów”,



Fragment zdjęcia lotniczego z 1944 roku (Archiwum NARA, GX11690 #22) z zaznaczoną lokalizacją FAL Liebau (kolor zielony) oraz fabryki Heinza Wendta (kolor czerwony)



Zaświadczenie wystawione przez Inspekcję Uzbrojenia dla firmy Wendt

jednak za każdym razem dotyczy ono budynku hali: „dawna fabryka samolotów Ettricha”²², „dawna hala lotnicza”²³ czy też „dawny zakład budowy samolotów”²⁴. Z kolei wiele ze strażniczek SS w FAL Liebau, w tym i przywołana wcześniej Gertrud Scharf, pochodziło z tego właśnie miasteczka. Wydaje się oczywiste, że mieszkańcy halę dawnej fabryki samolotów, nawet wiele lat po zamknięciu firmy, w dalszym ciągu nazywali właśnie „fabryką samolotów”. A skoro zakład Wendt znajdował się w tejże „fabryce samolotów”, to i zatrudnione tam kobiety po wojnie zeznawały, że pracowały w „fabryce samolotów”.

Spójrzmy więc, jak swoją pracę opisywały same więźniarki. Jedna z nich, Elona Kraus, stwierdziła na temat zakładu Wendt: „Znajdowało się tam dziesięć prostych maszyn, które produkowały części śrubowe w dość monotonnym procesie”²⁵. Chana Katz zeznawała: „W zakładzie Wendt produkowano metalowe części do broni”²⁶; w tej samej teźce archiwalnej znajduje się też stwierdzenie, że 100 więźniarek z FAL Liebau było zatrudnionych w „fabryce amunicji Wendt”²⁷.

Z kolei Renée Firestone w swojej relacji wymieniła trzy zakłady, w których pracowały kobiety z obozu. Były to: fabryka amunicji, fabryka skrzynek na amunicję i fabryka łańcuchów przeciwniegowych²⁸. Z innych źródeł wiemy, że zatrudniano je w trzech fabrykach, przy czym skrzynki na amunicję produkowała dawna fabryka mebli Kurt Laske, a łańcuchy na koła firma Nordland. Wynika stąd, że fabryką amunicji była firma Wendt.

Natrafiłem też na informację, że w czasie wojny radzieccy jeńcy umieszczeni byli w fabryce amunicji Wendt w miejscowości Lübben²⁹, miasteczku leżącym w Brandenburgii. Natomiast funkcjonujący w czasie wojny w Lubawce zakład Wendt, choć później zmienił swoją nazwę i miał siedzibę w Berlinie, to w czasie pierwszych negocjacji w lutym 1943 roku, o których wspomniałem już wcześniej, nazywał się „Johannes Wendt Werkzeugmaschinenfabrik” i znajdował się właśnie we wspomnianym już mieście Lübben. Wydaje się, że w obu przypadkach może być mowa o różnych oddziałach tego samego przedsiębiorstwa.

Warto również zwrócić uwagę na pewien dokument (patrz ilustracja 8) wystawiony 11 września 1943 roku przez Inspektorat Uzbrojenia nr VIII a we Wrocławiu będący jednostką Ministerstwa Uzbrojenia i Produkcji Wojennej. Stwierdzono tu, że „firma Wendt jest dostawcą Wehrmachtu znajdującym się pod jego nadzorem” i należy jej udzielić wsparcia „ze względu na pilną produkcję dla Wehrmachtu”³⁰.

Patrząc na strukturę organizacyjną niemieckiej armii, zauważymy, że Wehrmacht obejmował całość sił zbrojnych III Rzeszy: wojska lądowe, marynarkę wojenną i siły powietrzne, a w przywołanym dokumencie brak informacji, dla której dokładnie formacji przeznaczona była produkcja fabryki. Przy czym doprecyzowano to w innym, już wcześniej przywołanym dokumencie (patrz ilustracja 3) z 23 sierpnia 1943 roku, w którym przenosząca swoją produkcję do Lubawki firma Wendt podkreślała: „Pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że jesteśmy specjalistycznym zakładem Luftwaffe prowadzącym produkcję o decydującym znaczeniu dla działań wojennych, o najwyższym stopniu pilności (DE 12, Vu 1), realizującym zamówienia Wehrmachtu nr 4948 oraz 4949–5084 i podlegającym Inspektoratowi Uzbrojenia Wrocław VIII”³¹.

Jednak lubawska fabryka Wendta realizowała już inne zamówienia. Ich numery oraz krótkie opisy można zauważyć na sporządzonej na początku 1944 roku karcie noszącej nazwę *Reichsbetriebskarte*, charakteryzującej tutejszą fabrykę (patrz ilustracja 9). Dokument ten przesłał mi niegdyś Robert Primke, ale niestety nie znam jego dokładnej sygnatury; wiem jedynie, że pochodzi ze zbiorów Bundesarchiv Berlin-Lichterfelde. Wymieniono tu numery pięciu zamówień. O ile skróty



Produkowany do 1945 roku samolot Bücker Bü 181. Można podejrzewać, że fabryka Heinza Wendta produkowała między innymi elementy do tego samolotu. Zdjęcie: Wikipedia

umieszczone przy dwóch pierwszych są trudne do zinterpretowania, to trzy kolejne pozwalają na zidentyfikowanie profilu produkcji: zamówienia opisane jako *Heinkel-Zellen* i *Bücker-Zellen* to niewątpliwie jakieś komponenty wykorzystywane przy powstawaniu płatowców dla samolotów Heinkel oraz Bücker. Z kolei *Torpedoausstoßrohre* to „rury do wyrzutni torped”. Tego typu rozwiązań nie stosowano w samolotach torpedowych, tak więc zapewne wytwarzane tu elementy wyrzutni powstawały na potrzeby marynarki wojennej.

Dzieje fabryki Heinza Wendta w Lubawce to fragment większej opowieści o tym, jak wojna sięgała nawet małych miasteczek leżących gdzieś daleko w górach. W tutejszej hali wytwórni samolotów pracowali robotnicy przymusowi, jeńcy wojenni i więźniarki obozu koncentracyjnego, zmuszani do niewolniczej pracy na rzecz niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Dziś, gdy po fabryce pozostał tylko komin i resztki murów, warto pamiętać, że wojna to nie tylko działania z bronią w ręku, ale także takie odległe od frontu fabryki, ciche miejsca, gdzie ludzie cierpieli i umierali, by napędzać potężną maszynę zniszczenia.

Marian Gabrowski

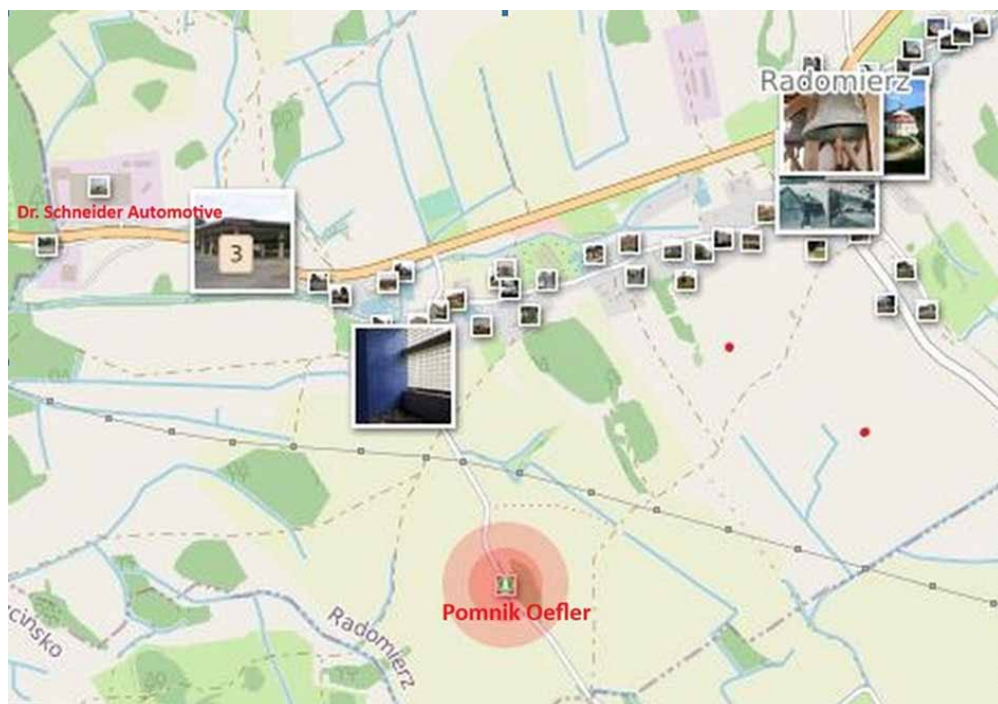
Przypisy

- 1 Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze (dalej AP Wr. O/JG), Akta miasta Lubawki, *Sprawy gruntowe – kupno, sprzedaż, dzierżawa i inne*, sygn. 83/9/0/11/281, k. 321.
- 2 Tamże, k. 323.
- 3 Tamże, k. 339.
- 4 Tamże, k. 443.
- 5 Tamże, k. 336.
- 6 Tamże, k. 338.
- 7 Tamże, k. 459.
- 8 Mowa tu o znajdującej się na lubawskim rynku gospodzie „Gasthof zur Forelle”.
- 9 Tamże, k. 441-442.
- 10 AP Wr. O/JG, Akta miasta Lubawki, *FA Apparate und Maschinenbau Heinz Wendt Berlin Ortsteil Dittersbach grüss. Nr 146*, sygn. 83/9/0/18/702, k. 7-9.
- 11 Tamże, k. 4.
- 12 *Reichsbetriebskarte*, stan na styczeń 1944, brak sygnatury (reprodukcja na ilustracji 9)
- 13 IPN Wr 488/577, s. 19.
- 14 A. Konieczny, *Kobiety w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen w latach 1944-1945*, [w:] „Studia Śląskie”, seria nowa, tom XL, Opole 1982, s. 89.
- 15 Archiwum Muzeum Gross-Rosen, MF-101-II-818, k. 71.
- 16 E. Mor, *Women's Labor Camp (FAL) Liebau September 1944 – May 1945*, Haifa 2023, s. 45-46.
- 17 B. Sawicka, *Liebau (Lubawka)*, [w:] *Der Ort des Terrors. Geschichte der nationalsozialistischen Konzentrationslager Band 6*, München 2007, s. 382.
- 18 *Zarządzenie Ministra Przemysłu z dnia 29 sierpnia 1946 r. o ogłoszeniu pierwszego wykazu przedsiębiorstw przechodzących na własność Państwa*, [w:] „Monitor Polski”, nr 94/1946, poz. 176.
- 19 *Verzeichnis der Haftstätten unter dem Reichsführer-SS (1933-1945)*, Arolsen 1977, s. 140; w oryginale: *Herstellung von Flugzeugbestandteilen*. Dosłowne znaczenie wyrazu *Flugzeugbestandteile* to „elementy konstrukcyjne samolotu”.
- 20 A. Konieczny, dz. cyt., s. 89.
- 21 IPN Wr 038/3131, s. 6; IPN Wr 488/577, s. 19.
- 22 AP Wr. O/JG, Akta miasta Lubawki, sygn. 83/9/0/11/281, k. 329; w oryginale: *ehemaligen Ettrichschen Flugzeugwerke* (powinno być: *Etrich*).
- 23 Tamże, k. 500; w oryginale: *ehem. Flugzeughalle*.
- 24 Tamże, k. 332, w oryginale: *ehemalige Flugzeughauanstalt*.
- 25 E. Mor, dz. cyt., s. 45.
- 26 Archiwum Muzeum Gross-Rosen, sygn. 9404/38 DP, k. 20(14); w oryginale: *Im Werke Wend wurde Metallteile für Waffen fabriziert* (powinno być: *Wendt*).
- 27 Tamże, k. 29(69); w oryginale: *Munitionsfabrik Wendt*.
- 28 USC Shoah Foundation Visual History Archive, Interview Code 151, tape 2, od minuty 16.
- 29 *The United States Holocaust Memorial Museum Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933-1945, Volume I*, Bloomington 2009, s. 1327.
- 30 AP Wr. O/JG, Akta miasta Lubawki, sygn. 83/9/0/11/281, k. 475.
- 31 AP Wr. O/JG, Akta miasta Lubawki, sygn. 83/9/0/18/702, k. 4.

Pomnik Johanna Carla Gottlieba Oefler z Janowic Wielkich zamordowanego w okolicy Radomierza 20 lutego 1828 roku



Pomnik upamiętnia zamordowanego w dniu 20 lutego 1828 r. syna Gottfrieda Oeflera gospodarza z Janowic. Kamienna płyta stoi obok drogi między Radomierzem a Janowicami Wielkimi. Tak w numerze miesięcznika Schlesische Provinzialblätter w 1828 r. opisano to zdarzenie: „20 lutego gospodarz Oefler z Janowic Wielkich w powiecie świeżawskim posłał swojego siedemnastoletniego syna z furą drewna do Jeleniej Góry. Wieczorem, o godzinie szóstej, konie powróciły z wozem bez woźnicy; ten ostatni leżał martwy twarzą na dół, ze sznurem wokół szyi, z lewą ręką przywiązaną do drabiny wozu, z podciętym gardłem i tchawicą. Przewożne w kwocie jednego talara, odebrane przez tego młodego człowieka oraz jego skórzana sakiewka zginęły. Na wozie natomiast znalazła się stara, rozpruta sukienka szmatka w kolorze szarym i nieznanego pochodzenia lufka fajki. Sprawca – parobek Gottlieb Beyer z Karpnik, który przebywał w tutejszej okolicy bez zajęcia – został wykryty i ujęty. Zbrodni dokonał on na drodze między Radomierzem a Janowicami.”



Plan Radomierza z zaznaczoną lokalizacją pomnika

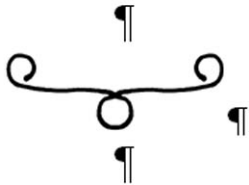


Odrestaurowano przez
Alfreda Bettermanna * 9.3.1933 Seiffersdorf / Radomierz
 † 19.8.2018 Freden (Leine)

*¶

1828¶

d. 20^{ten} Februar¶
 wurde hier der Sohn¶
 des Bauer Gf. Oefler¶
 aus Jañowitz unge-¶
 bracht Stb. 16 J 10 M.¶

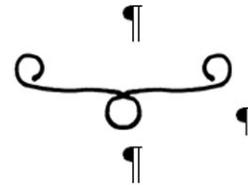


Vergieb uns unsere¶
 Schuld, wie wir un-¶
 sern Schuldigern¶
 vergeben.¶
 Matth. 6. V. 12.¶

*¶

1828¶

20-tego lutego¶
 został tutaj syn rolnika G. Oeflera¶
 z Janowic za-
 bity. Zmarł w wieku 16 lat i 10¶
 miesięcy¶



Przebacz nam nasze¶
 winy, jak i my przebaczymy¶
 naszym winowajcom.
 Mateusz, rozdział 6, wiersz 12.¶
 ¶

Ulrich Junker
 Tłumaczyła dr Stefania Żelasko

Barokizacja na Dolnym Śląsku (8)

Kaplica grobowa w kościele św. Jakuba Apostoła w Prusicach

W artykule chciałbym zwrócić uwagę na cenny, właściwie pierwszy przykład barokowego grobowca marszałka **Melchiora von Hatzfeldta** w **Prusicach** (1663-67).

Trwałą formą uczczenia zmarłych i próbą zachowania o nich pamięci było lokowanie miejsca pochówku przy trwałych budowlach. Dotyczyło to zwłaszcza władców, dostojników świeckich i kościelnych oraz innych osób z wyższych warstw społecznych. Ich groby były w znanych budowlach sakralnych (katedrach, kościołach pielgrzymkowych) i obiektach książęcych. Ten ważny aspekt w życiu społeczeństw znajdował odzwierciedlenie w sztuce – w architekturze i rzeźbie oraz w malarstwie portretowym. Wznoszenie budowli grobowych na cześć władcy w formie mauzoleum, czyli dużego obiektu poświęconego zmarłemu królowi (wodzowi), służyło utrwalaniu pamięci o jego władzy i gloryfikowaniu jego czynów. W Europie Środkowej (w monarchii habsburskiej) i na Śląsku możni (księżęta i dostojnicy kościelni) chowani byli zazwyczaj jako dobroczyńcy w fundowanych kaplicach, w prezbiteriach kościołów lub w podziemiach (kryptach). Z czasów średniowiecza zachowały się cenne, ale mało dekoracyjne (w porównaniu do późniejszego okresu baroku) nagrobki w formie sarkofagów oraz płyty nagrobne i przyścienne z przedstawionymi postaciami. Można tu wymienić tumbę (skrzynię grobową) **Henryka II Pobożnego** (zm. 1241), **Henryka IV Probusa** (zm. 1290), biskupa **Przeclawa z Pogorzeli** (zm. 1376, z Kaplicy Mariackiej w katedrze wrocławskiej).

Ważnym etapem rozwoju był okres renesansu i wpływ włoskiej sztuki nagrobnej. Wzorce włoskie docierały na Śląsk poprzez dwór wiedeński, ale także i bezpośrednio – dzięki działalności włoskich rzeźbiarzy i sztukatorów, których zapraszano tu do modernizacji (barokizacji) kościołów i dworów szlacheckich. W kształtowaniu wnętrza i wyposażenia stosowano w szerokim zakresie znane już wcześniej motywy artystyczne i dekoracyjne (postać w stroju kościelnym lub w zbroi rycerskiej, kobiety ubrane świętecznie, herby rodowe, inskrypcje itp.). Dobrze zachowały się obiekty grobowe



Grobowiec z tumbą



Kaplica grobowa

(pomniki i nagrobki oraz epitafia) **biskupów wrocławskich** w bazylice pw. św. Jakuba Apostoła i św. Agnieszki w Nysie, tumbry grobowe i epitafia rodziny **Schaffgotsch** w Raszowie (mauzoleum z okresu 1565-1630), pomniki i epitafia całopostaciowe (grobowe) **książąt wirtemberskich** (oleśnickich) (budowa 1698-1700) w bazylice św. Jana Apostoła w Oleśnicy.

Istotne znaczenie w ewolucji pomników nagrobnych odegrała kaplica (czyli oddzielne pomieszczenie w formie przybudówki z ołtarzem). W budowlach gotyckich (średniowiecznych) dokonano barokizacji i przekształcenia zgodnie z nowymi trendami. Nastąpiło rozwinięcie tej formy budowli i wzbogacenie jej wnętrza. Na kompozycję pomnika nagrobego składały się barokowe figury alegoryczne nawiązujące do zasad wiary i cnót kardynalskich (*wiara, nadzieja, miłość, mądrość, sprawiedliwość, męstwo itp.*) oraz symboliką śmierci (*przemijanie, marność – vanitas*) i wieczności (*eternitas*) z ich atrybutami (kolumna, czaszka, klepsydra, lustro, girlanda). Nowe trendy – wznoszenie budowli grobowych, czyli kaplic grobowych (rodowych) lub skromniejszych grobowców i pomników nagrobnych – uwidoczniły się na Śląsku już po kilkunastu latach od zakończenia działań wojennych



Ołtarz w kaplicy grobowej

(po roku 1648). Było to związane z polepszaniem się sytuacji finansowej dostojników kościelnych i klasztorów oraz szlachty śląskiej i mieszczaństwa. Barokowe kaplice grobowe spełniały często praktyczny cel: wznoszono je jako miejsce godnego pochówku członka rodziny, dla upamiętnienia zmarłych danego rodu poprzez pokazanie (wyliczenie w inskrypcji) ich zasług na polach bitew lub w życiu społecznym (dla regionu, Kościoła).

Artyści stosowali zazwyczaj szlachetny materiał – cenny biały marmur karraryjski, alabaster z Włoch oraz czerwony i czarny marmur (z okolic Salzburga), który odzwierciedlał żal po zmarłym, stwarzał nastrój melancholii, zadumy i kontemplacji. W obiektach barokowych i kaplicach rodowych widoczne stały się nowe kompozycje ołtarzowe z figurami świętych, a także wielkowymiarowe płótna (obrazy) ze scenami pasyjnymi z życia Jezusa i męczeństwa świętych (często regionalnych patronów, np. św. Jana Nepomucena, św. Floriana). Stosowana była nowa technika malarska, czyli malarstwo iluzjonistyczne, które wniosło nowe możliwości oddziaływania na wierzących i obserwujących, sprawiając wrażenie uczestniczenia w przedstawianej scenie. Zmianie uległa architektoniczna oprawa nagrobków (sarkofagów, tumb, epitafiów i płyt czy tablic nagrobnych). Po 1648 r. uwidocznił się nowy typ nagrobka zapożyczony z małej architektury włoskiej – *popiersiowy*, wywodzący się z rzeźby antycznej. Epitafium z wizerunkiem zmarłego w formie popiersia, z pilastrami, kolumnkami i arkadkami było dekorowane motywami roślinnymi (wieńcem laurowym, liściem akantu). Lokowano je w gotyckich kościołach w niszach i na ścianach. Z biegiem czasu podobne epitafia umieszczano w pałacach (rezydencjach) lub oddzielnych kaplicach. Powstały też pomniki figuralne (przykładem jest kłęząca figura fundatora w kaplicy św. Elżbiety przy katedrze wrocławskiej) i zdobione figuralne płyty nagrobne (np. kościół św. Elżbiety we Wrocławiu).

Doniosłe znaczenie w historii śląskiej rzeźby nekropolicznej (sepulkralnej) ma **kaplica grobowa (mauzoleum)** poświęcona marszałkowi cesarskiemu **Melchiorowi von Hatzfeldtowi** przy gotyckim (ceglanym) **kościółce parafialnym św. Jakuba Apostoła w Prusicach**. Jest to godny uwagi monument grobowy, wybitne dzieło barokowej sztuki rzeźbiarskiej, nawet na skalę europejską.

M. Hatzfeldt przyszedł na świat 20 października 1593 r. w zamku Crottorf w Friesenhagen, a zmarł 9 stycznia 1658 r. w swoim ulubionym dworze szlacheckim w wiosce Powidzko odległej o kilka kilometrów od Prusic. M. Hatzfeldt wstąpił do wojska cesarskiego (habsburskiego) po studiach we Francji (ok.

1625), gdzie w służbie u dowódcy **Albrechta Vaclava z Valdsteinu (Wallenstein)**, ur.1583, zm.1634) uzyskał stopień oficerski. W 1632 r. awansował na pułkownika, 25 czerwca 1635 r. otrzymał stopień feldmarszałka (oraz tytuł hrabiego). Dowodził wojskami cesarskimi w ważnych bitwach. W roku 1640, działając razem z **Piccolominim Ottavio** (to książę **Amalfi**, ur. 1599, Florencja, zm. 1656, Wiedeń, włoski generał i dyplomata, od 1616 w służbie Habsburgów, wybitny wódz okresu wojny trzydziestoletniej), wyparł wojska szwedzkie z terenu Czech. W 1631 r. został spadkobiercą dóbr hrabiego **von Gleichen** (okolice Getyn-gi). W 1641 r. cesarz **Ferdynand III Habsburg** (król Czech, Węgier i Chorwacji, cesarz rzymski, 1637-57) nadał M. Hatzfeldtowi dobra wolnego państwa stanowego Trachenberg (Żmigród), odebrane uprzednio rodzinie **Schaffgotsch** po straceniu w 1635 r. oskarżonego o zdradę **Hansa Ulricha von Schaffgotscha**. M. Hatzfeldt w 1643 r. brał udział w zdobyciu Tuttlingen i jeszcze w tym samym roku został naczelnym wodzem wojsk cesarskich. Po porażce w marcu 1645 r. w bitwie pod Jankowem, gdzie dostał się do niewoli, zakończył służbę w wojsku cesarskim. Zajął się gospodarowaniem swoim majątkiem, m.in. rozbudowując (barokizując) zamek w Żmigrodzie. Na życzenie cesarza powrócił w 1657 r. do służby i dowodził wyprawą wojsk cesarskich w sile 16 000 ludzi zorganizowaną dla wsparcia Polski podczas najazdu szwedzkiego (tzw.



Płyta nagrobna z tarczą



Sklepienie kaplicy grobowej

„potop szwedzki”) i zmusił wówczas oddziały szwedzkie pod dowództwem gen. **Paula Würtza** (ur. 1612, zm. 1676, wojskowy w służbie króla Szwecji Karola X Gustawa, w latach 1655-57 gubernator Krakowa, od 1661 gubernator Pomorza, od 1674 Bremy i Verden) do rezygnacji z oblężenia Krakowa. Podczas tej wyprawy ciężko zachorował i po kilku miesiącach zmarł (9.01.1658) w swoim dworcu (Powidzko k. Żmigrodu) i został pochowany w kaplicy przy kościele parafialnym w Żmigrodzie.

Wykonawca testamentu **Herman von Hatzfeld** (brat marszałka) złożył zamówienie u znakomitego rzeźbiarza, jakim był **Achilles Kern** z Frankonii, na dwa identyczne nagrobki: jeden dla rodzinnej miejscowości Laudenbach (obecnie dzielnica Weikersheim, rejon Heilbronn), drugi na miejsce pochówku w Prausnitz (Prusice). Praca nad monumentem trwała cztery lata (1659-63). Na życzenie H. Hatzfelda wybudowano kaplicę grobową. Projekt kaplicy opracował znany mistrz-architekt **Carlo Rossi** (autor Mauzoleum Piastów Legnicko-Brzeskich, 1677-79). Została dobudowana do średniowiecznego kościoła św. Jakuba Apostoła w Prusicach. Do Prusic nagrobek przyjechał w 29 skrzyniach. W 1667 r. zwłoki marszałka w cynowej trumnie przeniesiono do kaplicy przeznaczonej na jego grobowiec (mauzoleum), w formie bogato zdobionej tumbi. Wykazuje ona typowe cechy nowego wówczas stylu baroku. Sklepienie kaplicy oraz ściany boczne mają

bogata dekorację sztukatorską wykonaną przez mistrza **Domenico Rossi**. Kaplica posiada wczesnobarokowy ołtarz (1667) ujęty w parę spiralnych kolumn, a w nim późnorennesansowy obraz „Wskrzeszenie Łazarza”. Pośrodku kaplicy znajduje się alabastrowa tumba, a na bokach tumby starannie wyrzeźbiono dwanaście scen wojennych. Sceny batalistyczne i dekoracje konsol nawiązują do wyposażenia wojska z tamtego okresu. Tablice ze scenami z pól bitewnych są pełne dramatyzmu i realizmu – strzelające armaty, przerażone konie, flagi łopoczące na wietrze. Artysta oddał wiernie drobne nawet szczegóły uzbrojenia i ubioru (mundury, kapelusze wojskowe, guziki). Po twarzach żołnierzy płyną łzy, w gestach widać rozpacz, rany, ból oraz codzienne trudy i cierpienie towarzyszące walczącym. Na tumbie, przy postaci marszałka, wyrzeźbiona jest panorama Krakowa i obóz wojskowy. Potężne konsole podpierają płytę nagrobną, na której leży figura zmarłego marszałka w mundurze, z insygniami dowódcy. U jego stóp ulubiona suczka podtrzymuje tarczę herbową Hatzfeldtów. Wizerunek psa jest pamiątką po wiernej towarzyszącej marszałka, ale też może symbolizować wierność wobec cesarza i religii. Wokół umieszczono napis w języku łacińskim podkreślający sławę wojenną zmarłego. Wśród bogatej ornamentyki pojawiają się putta – małe aniołki. Jedne dmą w trąby, głosząc zasługi zmarłego, inne smutne ronią łzy z żalu po jego śmierci. Prócz elementów nawiązujących do militarnych tryumfów: bębnow, armat, tarcz, sztandarów, mieczy i włóczni, umieszczono spowite w całuny szkielety i czaszkę. Obok znaków ziemskiej chwały widoczne są symbole wanitatywne, czyli świadectwa marności i przemijania życia ziemskiego. Okres baroku to czas, gdy artyści stosują w dekoracjach symbolikę śmierci (czaszki, kościotrupy, klepsydry) ukazywanej w całej grozie i w nawiązaniu do tematyki biblijnej (krucyfiks). Tumba grobowa jest przykładem połączenia pomnika sławiącego czyny wojenne i tradycyjnego rodzinnego grobowca.



Sztukateria z czaszką

Podobny typ sarkofagu spotkać można we wrocławskim kościele dominikanów w kaplicy bł. **Czesława**. Wymienić warto też dekoracyjną kaplicę Wszystkich Świętych, która jest w **Mauzoleum Piastów Świdnicko-Jaworskich (Bolko I zm. 1301, Bolko II zm. 1368)**, wybudowaną w latach 1735-45) przy prezbiterium wspaniałej barokowej bazyliki krzeszowskiej. Barokowe kaplice grobowe wznoszone dla pochówku zmarłych spełniały normy religijne – to miejsca kultu dla świętych Kościoła i czci oddawanej zmarłym władcom i dostojnikom rodu.

W kościele św. Jakuba w Prusicach znajdują się ponadto liczne płyty nagrobne (z XVI w., w innej kaplicy) i ciekawe barokowe obrazy. Opisywana kaplica jest wartościowym i dobrze zachowanym przykładem sztuki nagrobnej na Śląsku. Ponadto warto pamiętać, że w tej pięknej kaplicy spoczywa nie tylko bohater wojny trzydziestoletniej, ale także wyzwoliciel naszej historycznej stolicy Krakowa z okresu „potopu szwedzkiego”.

Edmund Całus



Witraże wrocławskich kościołów (3)

Kościół Najświętszej Maryi Panny na Piasku

Kościół Najświętszej Maryi Panny na Piasku jest jedną z największych gotyckich budowli we Wrocławiu. Pierwotny romański kościół klasztorny zbudowano w tym miejscu w XII w. z fundacji Marii – żony Piotra Własta i jej syna Świętosława. Obecny trójnawowy kościół powstał w latach 1334-1425. W XVII i XVIII w. dobudowano do niego barokowe kaplice św. Rodziny i św. Sebastiana. W 1945 r. po bombardowaniach kościół spłonął. Podczas powojennej odbudowy w latach 1947-49 i 1960-65 odtworzono pierwotny gotycki charakter świątyni. Przywrócono jej gwiaździste sklepienie nawy głównej i trójdzielne sklepienia naw bocznych. W otworach okiennych umieszczono nowoczesne witraże T.M. Reklewskiej.

Twórczyni witraży w kościele Teresa Maria Reklewska

Teresa Maria Reklewska ukończyła warszawską ASP w 1956 r. na Wydziale Tkaniny. Po otrzymaniu dyplomu z gobelinu i tkaniny pod kierunkiem prof. Eleonory Plutyńskiej studiowała w Paryżu (Ecole Nationale des Beaux Arts), a w 1958 r. ukończyła szkolenie w pracowni sztuki sakralnej (Atelier d'Art Sacre) u prof. Jacques'a de Chevalliere'a, u którego uczyła się sztuki witrażu. Od 1958 r. artystka próbowała założyć własną pracownię witraży opartą na zasadach sztuki odmiennych od dziewiętnastowiecznych. Pracownia taka powstała w 1975 r.

Była doskonałym nauczycielem, o czym świadczy liczba znakomitych artystów, którzy pod jej okiem nabierali kwalifikacji w tworzeniu witraży i razem z nią realizowali monumentalne dzieła (P. Przyrowski, T. Tuszko, J. Owsiak, T. Bieliński).

Artystka uważa, że doskonałe witraże powinny uchylić zasłony na świat niewidzialny naszym ziemskim oczom. Bóg jest źródłem twórczości artystycznej, od niego też zależy kunszt artysty, natomiast projekt witrażu jest tylko wizją malarską. Bogaty rysunek ołowiem jest zwartą, rygorystyczną konstrukcją. O wyborze każdego kawałka szkła decyduje intuicja i doświadczenie, a malowanie kolorowego szkła tlenkami metali jest umiejętnością przesłaniania pewnych jego partii po to, aby uzyskać głęboki, bogaty ton i siłę barwy. Te etapy dają ostateczną formę witrażu, do którego artystka dochodzi podczas realizacji.

Według o. P. Golińskiego, benedyktyna z Tyńca, witraże artystki i jej współpracowników są świadectwem dużej kultury teologicznej, wielkiego arcyzmu i znakomitego rzemiosła. Są wyznaniem wiary w ich prawdziwą rolę tworzenia sacrum. Dzieła te współtworzą przestrzeń spotkania Boga z jego ludem i z poszczególnym człowiekiem. Według M. Szelepin charakterystyczną cechą indywidualności artystycznej prof. Reklewskiej jest jej umiejętność operowania skrótem myślowym ograniczonym do jego znaku symbolicznego. Tworząc układy z rytmicznie powtarzanych form, często przenikających się wzajemnie, posługując się kształtami zarówno pół-abstrakcyjnymi, jak i realistycznymi o jej tylko właściwej stylistyce; autorka harmonijnie łączy je w syntetyczną kompozycję całości. Ekspresja rysunku wyznaczającego kontury i intensywność stosowanych kolorów sprawiają, że jej witraże odznaczają się niezwykle wręcz walorami dekoracyjnymi. Światło przenikające z zewnątrz poprzez dobrane z ogromną pieczołowitością barwne szkła, któremu plastycznej głębi dodaje malowanie polegające na zaciemnianiu poszczególnych partii, decyduje o niezwyklej sile oddziaływania prac prof. Reklewskiej.

W 1975 r. artystka otrzymała nagrodę Brata Alberta za całość istniejących już wówczas witraży kościoła Najświętszej Maryi Panny na Piasku. Ze swoim zespołem zrealizowała też inne monumentalne prace we Wrocławiu: witraże w transepcie kościoła św. Wojciecha i kaplicę błogosławionego Czesława w tym kościele. Autorka ma też na koncie kilkanaście realizacji witraży, które wykonała dla architektury zarówno sakralnej (Warszawa, Wrocław, Nowy Sącz, Kąty Korynckie, Anin), jak i świeckiej (Belgia, Francja, Japonia, Kanada, Szwajcaria, Polska, USA).

Witraże w kościele Najświętszej Maryi Panny na Piasku

Trzy witraże prezbiterium, o wysokości 17 m każdy, zostały zrealizowane przez prof. T.M. Reklewską w latach 1962-1964. Powstały z inicjatywy kardynała Bolesława Kominka, który zaprosił artystkę, mieszkającą wówczas w Paryżu, do wzięcia udziału w ogłoszonym przez niego konkursie. Reklewska konkurs ten wygrała i z racji niemożności wykonywania witraży zgodnie z własną koncepcją w Polsce, z pomocą księdza kardynała wykonała je w znanej paryskiej pracowni Guya de Chevaliere'a. Samodzielnie przygotowała wszystkie

rysunki poprzedzające realizację dzieła, samodzielnie, w skali 1:1, namalowała kartony, wreszcie samodzielnie dobierała każdy kawałek szkła.

Zamierzeniem artystki było, żeby na odwiedzających kościół Najświętszej Maryi Panny na Piasku oddziaływała przede wszystkim ogromna żywość barwy witraży, kierując ich wzrok ku chórowi kapłańskiemu. Reklewska tak skomponowała swe dzieło, aby wchodzący do świątyni nie od razu odczytywali zobrazowane w witrażach przedstawienia, nie od razu odbierali wyrażone w nich treści. Dla niej najważniejszy był kolor i nastrój, jaki wytwarza barwność witraży. Kompozycja oparta jest na barwnych plamach przechodzących z okna do okna.

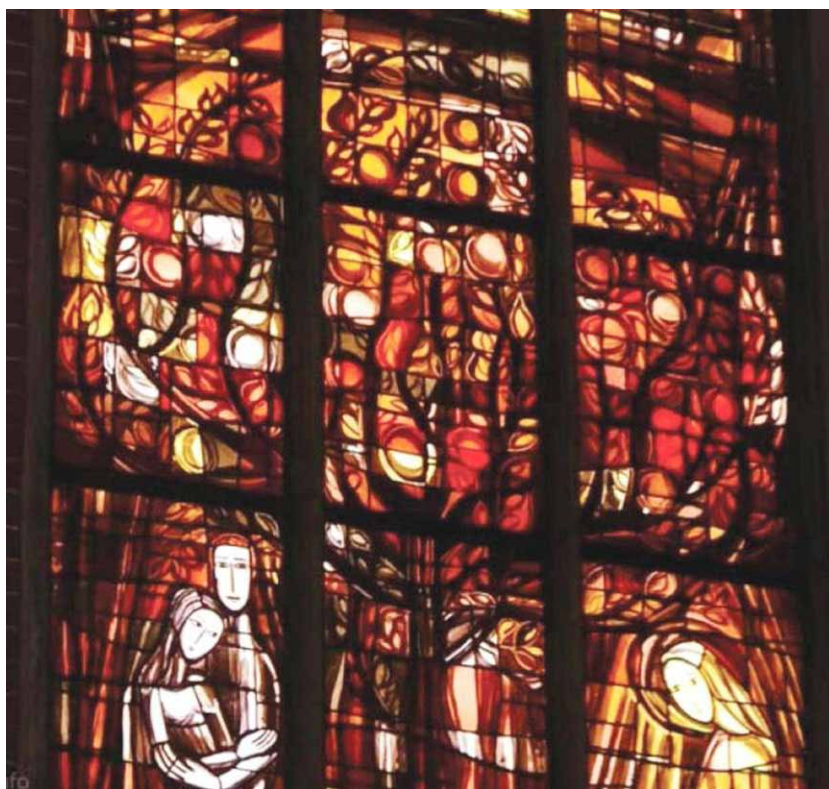
Każdy witraż jest w innej tonacji, uzupełnia barwy innych, tworząc symfonię współbrzmiących kolorów gamy cieplej od bladych żółtych i różowych do czerwieni, brązów i fioletów. Biel i szarość dodają w barwnej kompozycji lekkości i dzięki nim czerwienie i żółcie brzmią intensywniejszym tonem. Czerwień witraża centralnego, podobnie jak żółć i róż witraży bocznych okien prezbiterium, koresponduje z architekturą świątyni, współgra z rzeźbą umieszczoną na filarach nawy głównej. Podział szkła witrażowych oparty na kwadratach i prostokątach dyskretnie nawiązuje do cegieł, kolumn i wiązań. Zbliżając się do prezbiterium, odwiedzający świątynię dostrzegają wylaniające się z barwnych szkła ludzkie postacie, zwierzęta, rośliny, ciała niebieskie.

Witraż po prawej stronie prezbiterium, utrzymany w tonacji różowo-biało-brązowej, poświęcony jest tematyce mariologicznej. Ilustruje tajemnicę zawieszenia Maryi. W jego górnej i środkowej strefie zobrazowane zostały zwiastowanie NMP i adoracja dzieciątka. Najświętsza Maryja Panna stoi z wyciągniętymi rękami w geście służebnicy, jej ręce są otwarte, gotowe do przyjęcia tego, co anonsuje stojący ponad nią anioł. Anioł również ma otwarte ręce, przekazując Maryi coś – jakby ogień. „W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami. Na to rzekła Maryja: Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego! Wtedy odszedł od Niej anioł” (Łk 1, 26-28, 38). Ponad tą sceną przedstawione zostało wyobrażenie Ducha Świętego w postaci gołębic.

W drugiej z wymienionych scen, poniżej kręgów zamykających od dołu scenę zwiastowania, przedstawiona jest klęcząca Matka Boska, która trzyma w ramionach dzieciątka Jezus w asyście dwóch adorujących



Witraże w prezbiterium (T.M. Reklewska)



Prawy witraż w prezbiterium (T.M. Reklewska)

Środkowy witraż w prezbiterium (T.M. Reklewska)

aniołów. Gwiazda ponad głową Matki Boskiej symbolizuje nadejście Mesjasza: „Oni zaś wysłuchawszy króla ruszyli w drogę. A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przysła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali” (Mt 2, 9,10).

W dolnej części witraża po jednej stronie wielkiego drzewa rajskiego przedstawieni zostali pierwsi rodzice Adam i Ewa, którzy, w odróżnieniu od Abrahama, złamali nakaz Stwórcy i nie zaufali Bogu. „Wtedy Pan Bóg rzekł do węża: Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeklęty wśród wszystkich zwierząt domowych i polnych; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia. Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie i niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę” (Księga Rodzaju 3, 14-15). Po przeciwnej zaś stronie drzewa – ta, która zaufała Bogu, druga Ewa – Maria Niepokalana.

Witraże chóru kapłańskiego mają kompozycję trójstrefową. Utrzymany w gamie czerwieni środkowy witraż chóru kapłańskiego poświęcony jest Chrystusowi. W centrum kompozycji widzimy Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego, pod krzyżem po lewej stronie zaś samotną postać Matki Boskiej przewidującej – gestem wyciągniętych rąk – czas, w którym weźmie ciało martwego syna w ramiona. Chrystus skłania głowę w jej kierunku.

Poniżej przedstawiona została ostatnia wieczerza – Jezus w otoczeniu dwunastu apostołów. Zdaje się kierować wzrok ku zebranych wokół stołu, a jednocześnie ku swej matce. Zestawienie w centralnym witrażu prezbiterium przedstawień ostatniej wieczerzy i ukrzyżowania stanowi nawiązanie do ofiary eucharystycznej, jest próbą ukazania tajemnicy eucharystii, w której Chrystus co dzień umiera, biorąc na siebie grzechy każdego z nas i ofiarując się nam jako chleb: „Następnie wziął chleb, odmówiwszy dziękczynienie połamał go i podał mówiąc: To jest Ciało moje, które za was będzie wydane; to czyńcie na moją pamiątkę! Tak samo i kielich po wieczerzy, mówiąc: Ten kielich to Nowe Przymierze we krwi mojej, która za was będzie wylana” (Łuk 22, 19,20).

W górnej części witraża, ponad przedstawieniem ukrzyżowanego, w gamie czerwieni ukazana została Maryja jako orantka i zarazem królowa tronująca w otoczeniu aniołów w koronie z gwiazd. Takie wyobrażenie Matki Boskiej jest wyrazem chwały Maryi – królowej aniołów i królowej świata. Z kolei uwidoczniiony w dolnej części witraża krzew winorośli symbolizuje Chrystusa i Kościół, zgodnie z Ewangelią św. Jana: „Wytrwajcie we Mnie, a Ja [będę trwał] w was. Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić” (Jan 15, 4,5). Rozeta w górnej części witraża jest abstrakcyjnym wyobrażeniem Ducha Świętego.



Lewy witraż w prezbiterium (T.M. Reklewska)

Na witraż po lewej stronie prezbiterium składają się starotestamentowe przedstawienia Abrahama, ofiary Izaaka, Adama i Ewy przy drzewie wiadomości dobrego i złego oraz wyobrażenie Maryi Niepokalanej. Górną część witraża zajmuje utrzymywane w złocistobrazowej tonacji przedstawienie Abrahama, ojca wiary, który stoi z pustymi rozłożonymi rękoma w geście oczekiwania wszystkiego od Boga. „Pan rzekł do Abrama: Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukażę” (Księga Rodzaju 12, 1).

W lukach nad Abrahamem poniżej rozety widać gwiazdy symbolizujące, według słów Jahwe, liczebność jego potomstwa. „I poleciwszy Abramowi wyjść z namiotu, rzekł: Spójrz na niebo i policz gwiazdy, jeśli zdołasz to uczynić; potem dodał: Tak liczne będzie twoje potomstwo” (Księga Rodzaju 15, 5). Poniżej postaci Abrahama – w gamie czerwieni – zobrazowana została ofiara Izaaka. Scena ta, ilustrująca próbę wiary i zaufania Abrahama do Boga, stanowi zarazem zapowiedź przyszłej ofiary Chrystusa. „A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: „Abrahamie!”. A gdy on odpowiedział: Oto jestem – powiedział: „Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę” (Księga Rodzaju 22, 1-2). Abraham podnosi rękę na Izaaka przedstawionego w postaci dziecka. Z prawej strony widać anioła w geście zatrzymania ręki Abrahama, a z boku ukrytego baranka.

W dolnej części witraża przedstawiona została, zgodnie z zapowiedzią ze starotestamentowej mądrości Syracha, róża mistyczna, inaczej duchowa, symbol Matki Bożej: „Zapusiłam korzenie w sławnym narodzie, w posiadłości Pana, w Jego dziedzictwie. Wyrosłam jak cedr na Libanie i jak cyprys na górach Hermonu. Wyrosłam jak palma w Engaddi, jak krzewy róży w Jerychu, jak wspaniała oliwka na równinie, wyrosłam w górę jak platan” (Syr 24, 12, 14).

W roku 1968 ksiądz kardynał Kominek zamówił następne witraże w nawach lewej i prawej. Projekt był przygotowany wiosną 1968 r. i zatwierdzony przez samego kardynała. Tym razem fundatorami witraży były Francuzki zgrupowane w stowarzyszeniu Equipe de Madelaine Delbrel, które wtedy zamieszkiwały na przedmieściach Paryża. Ofiarowały one ten niezwyklej dar dla Polski i Wrocławia. Cztery ufundowane przez nie okna prawej nawy są 17-metrowe, lewej zaś 13-metrowe.

Według relacji prof. Reklewskiej, pewien czas oddzielał projekt od realizacji i dlatego artystka znowu znalazła się w takiej sytuacji, że wydawało się jej, iż musi projekt zmienić. Bez porozumienia z kardynałem zdecydowała się na zrobienie witraży całkowicie abstrakcyjnych, związanych z tematyką Ducha Świętego. Projekt poprzedni również dotyczył tego tematu, ale przedstawiał sceny biblijne. Decyzja była na tyle trudna, że w tym czasie powstawało niewiele witraży całkowicie abstrakcyjnych i były to pierwsze abstrakcyjne witraże malowane przez znakomitą artystkę. Każde z okien jest wyrazem objawień czy manifestacji Ducha Bożego w Starym Testamencie, a w ewangelii Ducha Świętego w postaci ognia, wody, wichru-wiatru oraz technienia. Każde z tych okien jest poświęcone jednemu z tych symboli.

Okna w prawej nawie są niebieskie. Okno centralne wyraża Ducha Bożego i Ducha Świętego jako ogień. Autorka oparła się tutaj na kilku tekstach biblijnych, które pomogły jej w stworzeniu kompozycji. „A Pan szedł przed nimi podczas dnia, jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy” (Księga Wyjścia 13, 21). „Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden” (Dzieje Apostolskie 2, 3). „A oto znów przemówił do nich Jezus tymi słowami: Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia” (Jan 8, 12).

Drugi witraż jest symbolem wody. „W ostatnim zaś, najbardziej uroczystym dniu święta, Jezus stojąc zawołał donośnym głosem: Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza” (Jan 7, 37,38). „Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie



**Witraż w prawej nawie
(T.M. Reklewska)**

będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu” (Jan 4, 14). „I ukazał mi rzekę wody życia, lśniąca jak kryształ, wypływającą z tronu Boga i Baranka” (Dzieje Apostolskie 22, 1).

Według artystki, oglądając te witraże, nie należy się doszukiwać jakichś konkretnych wyobrażeń wody czy ognia. Oczywiście kolory sugerują, który witraż jest witrażem wody, a który ognia, lecz raczej powinno się poddać działaniu kolorów i działaniu tych form, które powinny być oglądane tak, jak się słucha muzyki. Nie należy doszukiwać się w niej słów ani poezji, tylko po prostu śledzić poszczególne tony, poszczególne akordy i ta muzyka przeniknie do naszego wnętrza inną drogą niż przez odczucie intelektualne.

Witraże nawy lewej są zielone. Okno nad ołtarzem poświęcone jest Duchowi Świętemu objawiającemu się w postaci wichru. W Starym Testamencie Duch Święty nie był nazwany jeszcze Duchem Świętym. To Duch Pana sprawiał te niezwykle znaki. „Mojżesz wyciągnął rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc, i uczynił morze suchą ziemią. Wody się rozstały” (Księga Wyjścia 14, 21). „Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić” (Dzieje Apostolskie 2, 2, 4). „Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha” (Jan 3, 8). Witraż zielony po lewej stronie pt. „Tchnienie”: „Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą (Księga Rodzaju 2,7). „Jak liczne są dzieła Twoje, Panie! Ty wszystko mądrze uczyniłeś: ziemia jest pełna Twych stworzeń. Gdy skryjesz swe oblicze, wpadają w niepokój; gdy im oddech odbierasz, marnieją i powracają do swojego prochu” (Psalm 104, 24, 29). „I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała” (Ezech 36, 26).

Witraże te prof. Reklewska realizowała w pracowni Guy de Chevaliere’a w Paryżu. Jak zwykle malowała projekt, kartony wielkości naturalnej, wybierała każdy kawałek szkła i malowała na całej powierzchni. Artystka wyznała, że przy tych pierwszych swoich całkowicie abstrakcyjnych witrażach bardzo długo poszukiwała formy ich malowania. Nie wiedziała jeszcze, jak malować przestrzenie, na których nie ma żadnej znanej formy: ani człowieka, ani rośliny, ani zwierzęcia. Było to dla niej ogromnie trudne i wiele miesięcy spędziła, zanim znalazła tę formę wyrazu.

W 1975 r. prof. Teresa Maria Reklewska zrealizowała zamówienie na witraże do jednej z bocznych kaplic kościoła na Piasku. Witraże w kaplicy św. Maksymiliana Kolbego powstały na zamówienie ówczesnego proboszcza świątyni, księdza Juliana Michalaka, dzięki fundacji jednego z wrocławskich zakonów żeńskich. Artystka zrealizowała te witraże w swojej pracowni w Miedzeszynie pod Warszawą wspólnie ze swoimi uczniami, tj. Tomaszem Łączyńskim, Tomaszem Tuszką i Jurkiem Owsiakiem.

Witraże w kościołach wrocławskich realizowali wybitni witrażyści z całej Polski. Warto znać zarówno uwarunkowania historyczne, w jakich one powstawały, jak i oczekiwania zamawiających oraz własne pomysły artystów nadające witrażom ostateczny kształt i treść przekazu.



Witraż w lewej nawie (T.M. Reklewska)

*Danuta Lesiów
Martyna Michniewicz
Tomasz Lesiów*

Z krańca Sudetów w głąb Karpat.

Trasa Odry – Gorlice (2)

W ramach mojego przejścia z krańca Sudetów w głąb Karpat jestem na obrzeżach centrum Rabki-Zdroju, a więc „zahaczam” o skraj Pogórza Orawsko-Jordanowskiego. W mieście tym – po zejściu z Lubonia (Lubonia Wielkiego) – urządzam sobie krótką przerwę na posiłek i na solidne nawodnienie. Słońce grzeje bowiem dość mocno. Zaopatruję się więc w spory zapas wody i ruszam dalej.

Przygoda z Gorcami

Zaraz też zaczyna się moja przygoda z Gorcami. Tutejsze Gorce to góry, w Sudetach znów Gorce to część miasta o nazwie Boguszów-Gorce.

Jeszcze wśród zabudowań Rabki-Zdroju zaczynam podejście pod górkę. Trud niby niezbyt strome, ale dającego się odczuć marszu rekompensują widoki rozpościerające się potem z niebieskiego szlaku, którym idę. Widać bowiem m.in. kawał Beskidu Żywiecko-Orawskiego. Zresztą dalsze widoki towarzyszą mi na tym odcinku szlaku niebieskiego w kilku jego miejscach. Schodzę nim i podchodzę – i tak na przemian. W Porębie Wielkiej urządzam sobie kolejną przerwę na posiłek, choć właściwiej można powiedzieć na nawodnienie i uzupełnienie zapasu wody. Odczuwając już jakieś zmęczenie docieram do granicy Gorczańskiego Parku Narodowego. Nabywam bilet wstępu i zaczynam dość mozolne podejście. Również na nim urządzam sobie przerwy widokowe. Bo i tu jest na co popatrzeć. Znów widoczki przywodzą trochę na myśl fragmenty Gór Wałbrzyskich czy Gór Kamiennych. Powoduje to oglądana ze szlaku panorama Beskidu Wyspowego. Widzę m.in. Luboń, na którym – w tamtejszym schronisku górskim – spędziłem poprzednią noc i inne górskie „wyspy”. Ot taki urok tych gór. Do miejsca kolejnego noclegu zostało mi jednak jeszcze trochę. Ruszam więc w dalszą drogę. Niebo tymczasem z pogodnego robi się nieco pochmurne. Idę więc ile sił w nogach. Na szczęście bez deszczu udaje się mi dotrzeć do celu tego dnia. W końcu osiągam bowiem Turbacz – nie chodzi jednak o wierzchołek góry o takiej właśnie nazwie, ale o schronisko turystyczne. Kolejny już bowiem raz na tej trasie mam do czynienia z tym, że schronisko turystyczne ma dokładnie taką samą nazwę jak góra, na której się ono znajduje. Wprawdzie do wierzchołka Turbacza (1310 m n.p.m.) od tego schroniska jest jeszcze trochę, jednak położone jest ono bezdyskusyjnie na zboczu tej właśnie góry.

Oczywiście wspomniane ostatnio schronisko nie jest celem mojej trasy z krańca Sudetów. Idę wszak do Gorlic, a do tego miasta jeszcze daleka droga.

Przechodząc tę trasę miałem nadzieję, że uda się mi zobaczyć panoramę z wieży widokowej na Lubaniu (1211 m n.p.m.). Niestety ponownie – tak samo jak przy przejściu Głównego Szlaku Beskidzkiego – nie dane mi to było. Góra ta znów spowita była mgłą. Będąc na tutejszym karpackim Lubaniu od razu myślę sobie natomiast o... Lubaniu w Sudetach – tamtejszym, położonym na Pogórzu Izerskim, mieście. Jak widać sudeckie akcenty wciąż „goszczą” na trasie mojego przejścia w Karpatach. Widoki tymczasem pojawiają się przy zejściu z grzbietu Gorców w dół i to takie, że co chwila urządzam sobie mini przerwy.

Po dojściu do Krościenka nad Dunajcem znów na kilka dni... jadę do Warszawy.

No a po kilku dniach jestem w Krościenku nad Dunajcem i ruszam w dalszą drogę – już docelowo do Gorlic. Nie obieram jednak od razu kierunku na to miasto. Przede mną bowiem de facto pierwszy w życiu

Pobyty w Pieninach.

Tak się bowiem złożyło, że dużo jeżdżąc i chodząc tu i tam jeszcze nigdy nie byłem w głębi Pienin. Owszem patrzyłem na nie – choćby z Gorców, ale to przecież nie to samo. Zbaczam więc trochę z kierunku „na Gorlice” i idę na wstępne poznanie jednych z najpopularniejszych chyba miejsc w Pieninach. W planach mam bowiem dojście do punktu widokowego na Sokolicy (ponad 740 m n.p.m.) i do takiegoż na Trzech Koronach (981 m n.p.m.).

Początkowo planowałem, aby obie te atrakcje zaliczyć w ciągu jednego dnia. Na Sokolicy rezygnuję jednak z tego planu. Tym bardziej, że mam nocować w Sromowcach Niżnych. Bez pośpiechu sycę więc oczy z sokolickiego punktu widokowego. A jest na co popatrzeć. Widok głębokiej doliny Dunajca widzianej stąd robi ogromne wrażenie. Niemniejszych zachwyty doznaję nieco tylko dalej na trasie niebieskiego szlaku (Sokolej Perci), którym posuwam się – bardzo ostrożnie – do przodu.

Kolejnego dnia zaliczam z kolei punkt widokowy na Trzech Koronach (tak jak dzień wcześniej na Sokolicy, nabywając przed tym bilet wstępu), syce oczy tamtejszymi widokami, patrząc m.in. na Tatry, po czym ruszam dalej.

Schodząc w rejon zabudowań Krościenka nad Dunajcem zaczyna nagle siąpić deszcz. Szybko więc zabezpieczam przed nim siebie i mój dość napakowany plecak. Na szczęście po chwili deszcz ustaje, a ja na dobre docieram do centrum ostatnio wspomnianej miejscowości. Tu następuje dłuższa przerwa.



Trochę w Beskidzie Sądeckim, trochę jeszcze w Pieninach

Po przerwie przechodzę mostem nad Dunajcem i wędruję w stronę centrum Szczawnicy, a później także w rejon tamtejszej pijalni wód mineralnych. Karpacka Szczawnica jak i sudeckie Szczawno-Zdrój są znanymi uzdrowiskami. Pierwsze 7 liter nazw obu tych miejscowości brzmi tak samo. Jako osoba urodzona w Wałbrzychu, a wychowana na tamtejszym Podzamczu (tym graniczącym ze Szczawnem-Zdrojem; piszę „tym”, bo jest i inne Podzamcze w Wałbrzychu) od razu, gdy wkroczyłem na tym przejściu do Szczawnicy, pomyślałem sobie o wspomnianym ostatnio sudeckim uzdrowisku. Oczywiście Szczawnicę i Szczawno-Zdrój dzieli ogromna odległość, mają zupełnie inną historię. Łączy je natomiast na pewno to, że są pięknie położonymi uzdrowiskami.

Po krótkim odpoczynku przy pijalni wód mineralnych ruszam w dalszą drogę. Gdzie? Otóż tego dnia planuję dojść do Schroniska Pod Bereśnikami powstałego w ramach bacówek PTTK (schronisk turystyki kwalifikowanej, których koncepcję stworzył Edward Moskała). Zamarzyłem sobie bowiem, aby na tym przejściu przenocować w kilku z nich. No i plan zamierzam realizować. Udaje się mi dojść do wspomnianego ostatnio schroniska. Jeszcze wieczorem z jego okna patrzę na widoczne doskonale w dole światła rejonu centrum Szczawnicy oraz na zarysy górujących nad nimi szczytów Małych Pienin. Niebo się troszkę chmurzy, ale – no właśnie – tylko troszkę.

A rano – jak to rano. Pakuję moje rzeczy, w tym śpiwór do plecaka. Schodzę na parter schroniska. Już prawie mam ruszać. Zdejmuję jeszcze tylko kaptur z nóg i zakładam górskie buty. Ostatnie pstryknięcie zastrząsków mojego plecaka. Otwieram drzwi schroniska. A na zewnątrz... wszystko dosłownie ocieka od wody. Mgła. Nieba praktycznie nie widać. Widać za to deszcz – padający jednostajnie intensywnie. Zakładam więc pokrowiec na plecak. Zabezpieczam też siebie przed deszczem i ruszam. Tego dnia mam dość ambitny odcinek do pokonania. No nie taki jak pierwszy na tym przejściu (Odry-Cieszyn; ponad 90 km), ale ten też ma być dość spory, w dodatku z dość wymagającymi – jak na wielodniowe przejście z napchanym plecakiem – podejściami. Chcę bowiem dojść na nocleg do Bacówki nad Wierchomlą. Trochę górkimi szlakami, trochę chodnikami, trochę poboczami szos (w sumie sporo ponad 40 km i grubo ponad 1200 metrów podejść).

W deszczu ruszam. O wykonywaniu fotografii raczej mowy nie ma. Z trudem „uwieczniam” jednak na zdjęciu piękny okaz dziewięciśli beżłodygowego (*Carlina acaulis*), chroniąc aparat czym się da. Leje bowiem bez przerwy. W strugach deszczu docieram do doliny Grajcarka.

Znów będzie mi dane maszerować praktycznie na pograniczu Beskidu Sądeckiego (ściślej Pasma Radziejowej) i Pienin (ściślej Małych Pienin), przy tym przez ładnych trochę kilometrów będę po stronie pienińskiej. Ale w takim deszczu trudno myśleć o podziałach geograficznych. Mimo solidnej impregnacji buty są już bowiem dość namoczone, a to właściwie początkowy na ten dzień odcinek trasy. Idę jednak coraz wyżej chodnikiem wśród zabudowań Szczawnicy, a później przez Szlachtową i Jaworki z nadzieją, że przestanie padać. Troszkę mniej pada dopiero w rejonie skraju rezerwatu przyrody Wąwóz Homole. Mimo deszczu przychodzi mi do głowy skojarzenie fragmentu nazwy tutejszego rezerwatu (w postaci słowa Homole) ze zwyczajowo

Deszczowy dzień w Beskidzie Sądeckim

stosowaną nazwą ruin pewnego zamku w Sudetach Środkowych, a którego urzędowa nazwa to Lewiński Zamek. Idąc dalej deszcz jakby ustaje, ale... pada coś w rodzaju „fruującego pyłku” wodnego. Próbuję zrobić zdjęcie – to był błąd. Od razu bowiem ów „pyłek” obsiada mój obiektyw. Później z tym „pyłkiem” nie mam już problemu, bo... zaczyna intensywnie padać – wręcz lać. No chociaż wiem, że to deszcz. Z trudem patrzę więc na okazałe formacje skalne widoczne z czerwonego szlaku na skraju kolejnego rezerwatu przyrody – Biała Woda.

W Beskidzie Sądeckim i na Pogórzu Popradzkim

W deszczu zaczynam podejście ścieżką, którą wiedzie ta znakowana trasa. To pada, to ustaje, to pada, to ustaje i tak na przemian. W lesie w rejonie góry Ruski Wierch (ok. 935 m n.p.m.) moje buty są górą całe zalane wodą, a dołem oblepione błotem. Deszcz przestaje padać na dobre dopiero, gdy dochodzę do zabudowań Obidzy. Wychodzi słońce. Idąc dalej czerwonym szlakiem wzdłuż doliny potoku Czercz przystaję na chwilę na poboczu biegnącej tam szosy. Patrzę na zbocze po drugiej stronie doliny, a tam na skraju lasu stoi kilka saren (chyba 9). Stoją i spoglądają z góry w moją stronę, po czym – po chwili – niespiesznie zapuszczają się w las. Widok cudowny!

Ja zapuszczam się tymczasem nadal w dół doliny potoku Czercz. Osiągam dolinę Popradu w Piwnicznej-Zdroju. Miałem plan, aby nieco zboczyć z trasy, celem napicia się miejscowej wody mineralnej. Niestety – z uwagi na pogodę – tempo marszu było inne niż planowałem. Buty mam też już dość namoknięte. Rezygnuję więc z kosztowania wody. Dokonuję małych zakupów i ruszam dalej doliną Popradu. Znowu przychodzi mi – przez pewien czas – iść poboczem szosy. W końcu docieram jednak do wylotu doliny Wierchomlanki i udaję się w górę tej doliny. Mijam zabudowania. Później – już w lesie – pod wieczór pojawia się kolejne zwierzę, które sprawia mi ogromną radość – salamandra plamista. Aż trochę mi trudno w to uwierzyć, ale w Sudetach – gdzie oczywiście płaz ten występuje – udało się mi go spotkać tylko... raz. Na tyle kilometrów co pokonałem, będąc tu i tam przez tyle lat to, aż (mnie) zadziwia. Płaza tego w Sudetach udało się mi zobaczyć na gruntowej drodze w masywie Borowej (854 m n.p.m.) w Górach Wałbrzyskich – dość blisko podnóża Zamkowej Góry (617 m n.p.m.). Przypatruję się więc chwilę napotkanej salamandrze plamistej i ruszam w stronę Bacówki nad Wierchomlą. Suszę odzież i buty, bo następnego dnia też czeka mnie ambitna trasa.

Planuję bowiem przejść do schroniska turystycznego Jaworzyna, ale przez... Szczawnik, Złockie, Muszynę, Powroźnik i Krynicy-Zdrój. Zaplanowana trasa to znowu grubo ponad 1000 metrów podejść i ponad 35 km do przejścia.

Rano zapuszczam się więc najpierw w piękną dolinę Szczawnika. Osoby zainteresowane tematyką sudecką doskonale wiedzą zapewne, że potok o takiej samej nazwie płynie też w Sudetach – częściowo w Sudetach Środkowych (ściślej w Górach Wałbrzyskich) i częściowo na Pogórzu Zachodniosudeckim (ściślej na Pogórzu Wałbrzyskim). Doliną tutejszego beskidzkiego Szczawnika maszeruję, aż do zabudowań Muszyny. Mijam zabudowania miejscowości o nazwie Szczawnik, potem budynki Złockiego i dochodzę do doliny Popradu w Muszynie. Zerkam do ścisłego centrum, urządzam krótką przerwę i zaczynam marsz w stronę Krynicy-Zdroju. Tego dnia mam „dobry czas”. W Powroźniku opuszczam dolinę Muszyny, którą maszerowałem. Wędruję dalej doliną Krynicy-Zdroju i jeszcze później – Czarnego Potoku. Wspinam się na Jaworzynę, bodaj częściej zwaną Jaworzyną Krynicką (1116 m n.p.m.), górę o około 100 metrów wyższą od sudeckiej Wielkiej Sowy (1016 m n.p.m.) i docieram na nocleg do schroniska turystycznego Jaworzyna. Tego dnia obyło się bez deszczu, choć było dość chłodno.



Autor w trakcie przejścia w dolinie karpackiego Szczawnika

Rano schodzę do doliny Czarnego Potoku, a później docieram do zabudowań centrum Krynicy-Zdroju. Następnie udaję się w stronę Mochnaczkii Niżnej. Opuszczam na dobre – na tej trasie – Beskid Sądecki.

Długo oczekiwany Beskid Niski

No i jestem w Beskidzie Niskim. Ogromnie chciałem tu zawitać. Przechodząc kilka lat temu Główny Szlak Beskidzki bardzo się mi tu spodobało – te krajobrazy; miejscami jak z bajki – można się w nich zauroczyć. Tym razem tylko początkowo po opuszczeniu zabudowań Mochnaczkii Niżnej wędruję za znakami Głównego Szlaku Beskidzkiego. Później na jakiś czas szlak ten opuszczam. Idę trochę poboczami szos. Później znów na niego wracam. Następnie – tym razem w Hańczowej – znów go opuszczam. Teraz to opuszczenie nastąpi na znacznie dłuższy czas. Trafia się bowiem i taki fragment mojego przejścia, w którym postanawiam zawitać – pierwszy raz w życiu – do Uścia Gorlickiego. Po pobieżnym obejrzeniu tej miejscowości ruszam za znakami szlaku żółtego. Idąc poboczem szosy co kawałek przystaję, bo bardzo ładnie prezentuje się masyw górski, w którym wznosi się m.in. szczyt o nazwie Polana (ponad 630 m n.p.m.). Górnych partii tego masywu jednak z dołu nie widać – są bowiem w chmurach. Widać tylko dolne. Ma to też swój urok. Fantastyczne widoki na ów masyw i nie tylko dane jest mi podziwiać także nieco wyżej. Wspomnianym szlakiem żółtym maszeruję dość mozolnie pod górkę (idąc poboczem szosy) aż w rejon góry, której urzędowa nazwa to Wierch (626 m n.p.m.). Tam żegnam na jakiś czas szlak żółty i zaczynam schodzić w dolinę Przystopianki (dalej poboczem szosy). Staję co jakiś czas na owym poboczu i patrzę na niebo – bo jest dość pochmurnie. Na razie jednak nie pada, z czego oczywiście się cieszę. Po osiągnięciu doliny idę w jej górę wzdłuż szosy wśród zabudowań Nowicy, w tym jej przysiółka o nazwie Przystółp.

Nowica – jak i wiele innych wsi Beskidu Niskiego – jest pięknie położona. Można się zauroczyć w tutejszych krajobrazach. Za zabudowaniami ponownie wkraczam na szlak żółty, któremu towarzyszy tu i szlak zielony. Idę za ich znakami w rejon budynku nieczynnego schroniska turystycznego na Magurze Małastowskiej. Bardzo urokliwe to miejsce. Na tamtejszym węźle szlaków wkraczam na szlak niebieski, którym chcę dojść aż do jego końca przy kolejnym schronisku turystycznym zbudowanym w ramach wspomnianych bacówek – tego w Bartnem.

Nim tam dotrę czeka mnie najpierw zejście do Przełęczy Małastowskiej (605 m n.p.m.) i tam przekroczenie asfaltowej szosy, a potem wędrowka przez las – trochę leśnymi drogami, trochę ścieżkami. Jest nieco mgliście, a z uwagi na fakt, iż to odludny teren – tak trochę tajemniczo. Kolejny piękny to zakątek Beskidu Niskiego. Las się skończył, a ja maszeruję nadal za znakami szlaku niebieskiego – najpierw poboczem asfaltowej szosy, później wzdłuż gruntowej drogi i pod koniec znów wzdłuż asfaltu. Ponownie wkraczam na Główny Szlak Beskidzki, który dołącza tu do szlaku niebieskiego. Tak dochodzę do schroniska – przede mną ostatni nocleg na trasie.



Niebieski szlak między Przełęczą Małastowską i Banią

Już o poranku widzę zza okna, że ostatni też dzień na trasie słoneczny raczej nie będzie, przynajmniej jego pierwsza część. No i nie jest. Wychodzę ze schroniska na zewnątrz. Pada – dość delikatny to deszczyk. Zabezpieczam więc siebie i plecak no i ruszam. Im jestem niżej – a idę cały czas wzdłuż asfaltowej szosy wśród zabudowań Bartnego, a później Bodaków – tym pada większy deszcz. W końcu niemal leje. W deszczu przychodzi więc mi podziwiać z zewnątrz mijane cerkwie i patrzeć na zbocza okolicznych gór. A ukształtowanie terenu jest tu piękne. Przy takiej pogodzie część gór „schowała się” wprawdzie za chmurami, ale część jest widoczna. W strugach deszczu docieram do styku drogi, której poboczem idę z szosą nr 977. Oczywiście

wybieram już kierunek na Gorlice idąc chodnikiem wzdłuż niej. Dochodzę do Sękowej. Tam dokonuję niewielkich zakupów spożywczych i urządzam sobie – także w deszczu – jedną z ostatnich na tej trasie przerw. Podczas dalszego marszu opady deszczu są nieco mniejsze. Wreszcie – mniej więcej na krańcu Beskidu Niskiego – deszcz ustaje.

Meta w Obniżeniu Gorlickim

Beskid Niski opuszczam idąc chodnikiem wzdłuż szosy nr 977. Doskonale widzę z niego jak zbiega górskie – de facto zbiega góry o nazwie Zagórze (505 m n.p.m.) opadają w dół do niemal płaskiego tu terenu zaliczanego już do Obniżenia Gorlickiego. Lubię przypatrywać się takim miejscom.

W końcu jednak następuje długo wyczekiwany moment na trasie – zbliżam się do stosownego znaku drogowego – tablicy z nazwą „Gorlice”. Planuję kilka pamiątkowych zdjęć w tym miejscu. Tymczasem zaczyna kropić drobny deszcz. Nim udaje się mi wyciągnąć aparat (zabezpieczony przed wodą) drobny deszcz przechodzi w całkiem solidny deszcz – wręcz w ulewę. Z trudem, ale udaje się mi wykonać kilka fotek. Wkraczam do miasta. Wychodzi słońce. Teraz już chodnikami wzdłuż miejskich ulic udaję się do Rynku. Oglądam po bieżnie – z zewnątrz – kilka historycznych budowli i podążam do krańca mojej trasy w pobliżu przystanku autobusowego koło stacji kolejowej Gorlice. Przy ulicznej latarni, na której wymalowane są dwie „kropki” szlaków – zielonego i żółtego kończy się moja przygoda z tą trasą. Było wspaniale!

P.S.

Łącznie – od startu w Sudetach do krańca trasy w Karpatach – przeszedłem ok. 470 km. Przewyższeń też było sporo, mimo że jakaś część mojego przejścia wiodła wzdłuż szos i chodnikami mijanych miejscowości. W trakcie przejścia trzy razy wyjeżdżałem na kilka dni do Warszawy (więc siłą rzeczy były to przerwy w marszu – jednak niedługie). Czasem, gdy – z różnych względów – nie możemy sobie pozwolić na bardzo wielodniowy marsz warto rozważyć właśnie opcję takich przerw w trasie. Idziemy kilka dni, później udajemy się np. na 2, 3, 5 dni załatwić swoje sprawy i wracamy na trasę.

Oczywiście – tak jak już wspomniałem w poprzednim artykule (swoistej części pierwszej opisu mojej wędrowki) nikogo nie namawiam do wędrowania poboczami szos. Idąc nimi bardzo uważałem, stosując się do obowiązujących przepisów. Zresztą nie tylko tam – wszak wszędzie na trasie trzeba być ostrożnym.

Przy zachowaniu ostrożności satysfakcja z przebytej trasy powinna być wielka. Moja – po opisanym tu przejściu – też jest ogromna. Powiem wprost – fajna to długodystansowa górską pamiątka roku 2024.

Bartosz Skowroński

CYTAT MIESIĄCA

„Ej Aj” prawdę Ci powie, czyli schronisko PTTK na Tarnicy

Szukając aktualnych informacji dotyczących bieszczadzkiej bazy noclegowej PTTK, wpisałem odpowiednią frazę w popularnej wyszukiwarce internetowej. Już po chwili ujrzałem informację wygenerowaną przez AI, do prezentacji tej „informacji” użyłem narzędzi „kopiuj, wklej”. Poniżej cytuję (pisownia oryginalna), a brzmi ona następująco: *W Bieszczadach pod PTTK znajdują się schroniska takie jak to na Tarnicy czy w Wołosatem, a także hoteliki i kwatery prywatne.* Rozwijając tę złotą myśl, zobaczyłem, co następuje: *Schroniska PTTK. Schronisko na Tarnicy: znajduje się na szczycie góry, oferując widoki zapierające dech w piersiach.* Coś nie dawało mi spokoju (żart), więc ponownie zapytałem AI o co chodzi i tym razem pojawiły się takie wiadomości: *Warto pamiętać, że na szczyt Tarnicy nie prowadzi żaden schroniskowy szlak. Brak schroniska na szczycie (...) Na samym szczycie Tarnicy nie znajduje się żadne schronisko.* A jednak nie ma schroniska na Tarnicy, dobrze wiedzieć. Moją uwagę zwróciła fraza *schroniskowy szlak*. Co to takiego? Po co o tym piszę? Ano po to, byśmy, szukając w Internecie informacji, sprawdzali je kilka razy, przepuszczali przez filtr logiki, weryfikowali w innych źródłach, których przecież nie brakuje.

Juliusz Wysłouch

Żegiestów Zdrój wraca do życia

Kto wędrował po Beskidzie Sądeckim w końcu XX wieku i na przełomie wieków XX i XXI, pamięta zapewne uzdrowisko Żegiestów-Zdrój tętniące życiem, choć już podupadające. Zmiany ustrojowo-systemowe nie sprzyjały lecznictwu sanatoryjnemu w całym kraju, wiele obiektów opustoszało i popadało w niebyt. Stało się tak z sanatoriami i domami wczasowymi w Żegiestowie-Zdroju. Wreszcie niemal wszystkie obiekty przestały funkcjonować i mało kto wiedział o istnieniu Żegiestowa-Zdroju, perły przedwojennych uzdrowisk. Nie jest moim celem przypominanie całej historii, jedynie zwrócenie uwagi na proces powrotu uzdrowiska do życia. Myślę, że warto to zrobić. Powszechnie znane są Piwniczna-Zdrój, Muszyna-Zdrój i Krynica-Zdrój, przez dziesięciolecia Żegiestów mijali wszyscy w drodze do Krynicy, ponieważ straszyl opuszczonymi budynkami uzdrowiskowymi i wczasowymi. Na szczęście pojawili się inwestorzy, Stanisław, Józef i Marcin Cechini konsekwentnie pracujący nad przywróceniem Żegiestowa-Zdroju do życia. Ci potomkowie włoskiego rodu od lat inwestują na Sądecczyźnie ze znakomitą skutkiem. 1 maja tego roku otwarto po wieloletnim remoncie stojący od lat pustostan, zdewastowany Dom Zdrojowy. Kiedy byłem w Beskidzie Sądeckim w październiku tego roku, trwały jeszcze prace na terenie przed obiektem, stawiano lampy na promenadzie. Gotowa jest promenada wiodąca od szosy przez Dom Zdrojowy do pijalni zdrojowej ze źródłem Anna i tarasy widokowe oraz ciąg spacerowy ciągnący się od kościoła pw.



**Dom Zdrojowy przed II wojną światową,
w 2022 i 2025 roku**

św. Kingi ponad zabudową wzdłuż szosy z widokiem na Poprad.

Mam jeszcze w oczach zbudowany w końcu lat 20-tych ubiegłego wieku (1924-29) Dom Zdrojowy widziany pierwszy raz w roku 1982 i ponownie 1 maja 1990 r., kiedy szliśmy z kolegą na Pustą Wielką po świeżym śniegu. Powiem tak. Dom Zdrojowy był, bo był, jego widok nie wzbudzał entuzjazmu. Kolejna wizyta na niebieskim szlaku i przejście obok DZ to lato 2022 r., potem wiosną 2024 r. podczas wyprawy rowerowej, wreszcie niedawna październikowa wycieczka. Było to podczas klubowego wyjazdu z bazą w Rytrze, zaplanowałem trasę w okolicach Żegiestowa specjalnie, by moi klubowicze zobaczyli odradzające się uzdrowisko. Jedyne dwie osoby z naszego wyprawowego grona wiedziały cokolwiek o Żegiestowie, przed laty odwiedziły bowiem sanatorium Wiktor na Łopacie Polskiej. Ten obiekt został przywrócony do życia przez Cechnich już w roku 2011. Co prawda, elewacje w kilku miejscach nadgryzł tzw. żąb czasu (niewielkie ubytki tynku), ale trwają prace na elewacjach przywracające właściwy stan. Bez dwóch zdań imponujący to budynek, wspaniałe osiągnięcie modernizmu.

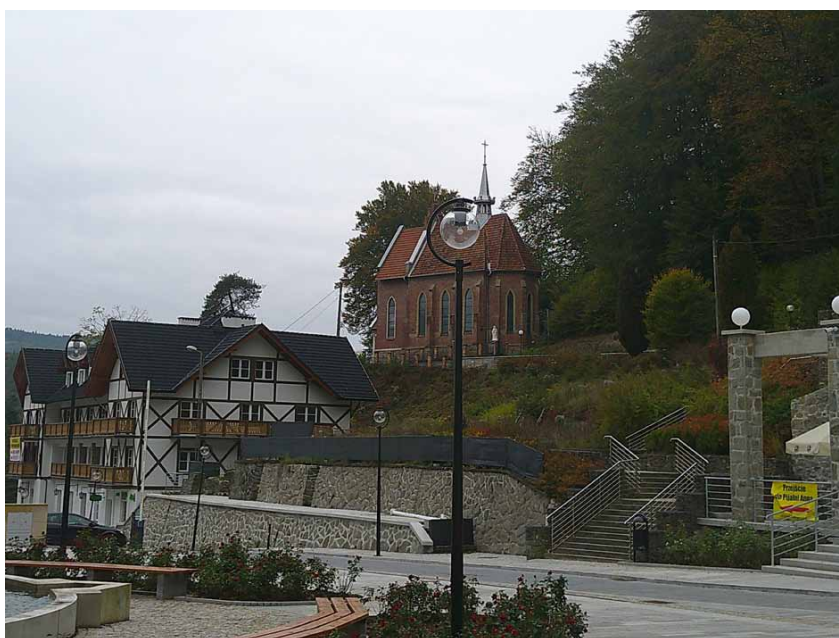
Kilka innych budynków z lat 30-tych stojących tuż przy szosie do Krynicy-Zdroju zostało doprowadzonych do takiego wyglądu, że wydaje się, iż są już czynne. One czekają na swoją kolej, na instalacje, wyposażenie i oddanie do użytku. Wydaje się, że najbardziej zaawansowany jest hotel (willa) Warszawianka, podobnie jak Dom Zdrojowy autorstwa Adolfa Szyszko-Bohusza. Gdy go mijaliśmy, widać było krzątających się przy budynku pracowników. A może będzie to DW Prometeusz? Wygląda na to, że dla uzdrowiska Żegiestów-Zdrój nadeszły dobre czasy. Fantastyczne położenie wśród gór nad Popradem i dogodny dojazd koleją sprawiają, że warto zainteresować się tym miejscem, nie tylko będąc kuracjuszem, urlopowiczem, ale także górskim turystą.

Juliusz Wysłouch

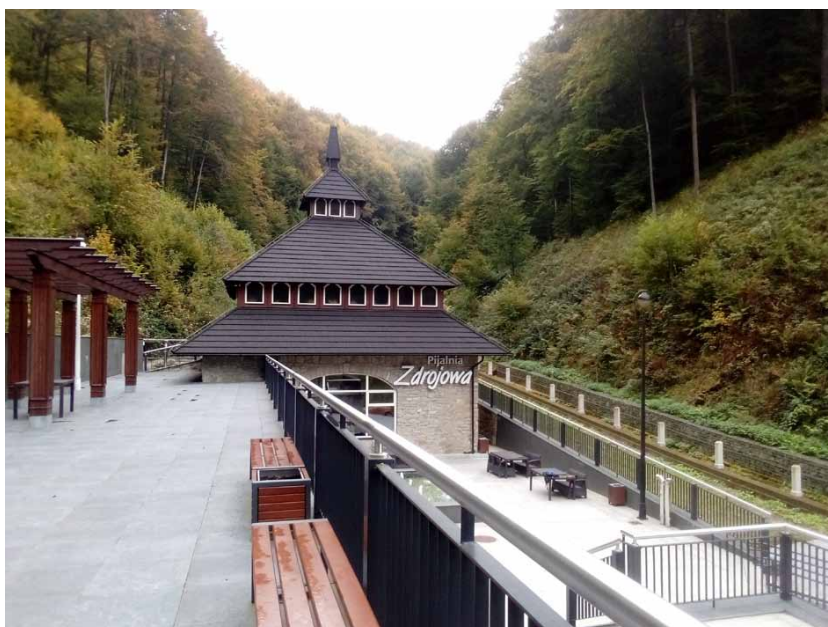
Pijalnia zdrojowa



Widok promenady przed Domem Zdrojowym



Apartamentowiec Żegotka i kościół pw. św. Kingi



Książęcy ogród sztuk zakwitł w Muzeum Śląska Opolskiego

Takiego ogrodu sztuki Opole naprawdę potrzebowało! Dla mnie osobiście to pierwsza tak wspaniała wystawa tematyczna związana z regionem Śląska Opolskiego.

Przez dekady – nie ukrywam – ekspozycje tej instytucji wydawały mi się zbyt oczywiste, przewidywalne, czasem wręcz nudne. I zgodzę się z każdym, kto rzuci we mnie kamień, że się mylę! Bo takiej wystawy w Opolu jeszcze nie było. Ba – takiej wystawy nie było chyba nigdzie na całym Śląsku.

Porównać można ją chyba tylko z Muzeum Zamkowym w Pszczynie, które jest w zasadzie nienaruszonym domem Hochbergów – brakuje tam jedynie służby i zapachu markowych cygar.

Natomiast wystawa w Muzeum Śląska Opolskiego zaprasza nas do zatańczonych salonów i przenosi w czasy świetności nieistniejącej już rezydencji książąt Württemberskich z Pokoju.

Kilkaset prezentowanych eksponatów pozyskano na aukcjach w Monachium oraz dzięki darowiźnie od samej rodziny książęcej Wirtembergów. Część obiektów udostępniły instytucje i osoby prywatne z Niemiec i z Polski. To jedyna taka okazja, by przenieść się do pałacu w Pokoju, który przepadł w historii, ale dziś odżywa w przestrzeni muzealnej.

Partnerami wystawy są instytucje i osoby prywatne, które wsparły to przedsięwzięcie:

- Landesarchiv Baden-Württemberg – Hauptstaatsarchiv Stuttgart
- Landesmuseum Württemberg w Stuttgarcie
- Muzeum Śląskie w Görlitz
- Staatsbibliothek zu Berlin – Preußischer Kulturbesitz
- Meininger Museen w Meiningen
- Muzeum Narodowe we Wrocławiu
- Muzeum Narodowe w Warszawie
- Muzeum Zamkowe w Pszczynie
- Ossolineum we Wrocławiu
- Biblioteka Uniwersytecka we Wrocławiu
- Muzeum Lubuskie im. J. Deckerta w Gorzowie Wlkp.
- Archiwum Państwowe w Opolu
- Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Opolu
- Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu
- Parafia Ewangelicko-Augsburska w Pokoju





- Gminna Biblioteka Publiczna w Pokoju
- Rzymskokatolicka Parafia w Kopicach
- oraz liczni prywatni kolekcjonerzy.

Ciekawostka – szlakiem rezydencji

W ramach wystawy przedstawiono również inne rezydencje arystokracji Śląska Opolskiego: Kopice, Turawę, Szydłowiec Śląski i Sławięcice.

To świetna inspiracja dla wszystkich, którzy lubią podróżować śladami dawnego świata pałaców i ogrodów arystokracji śląskiej.

Kuratoriami wystawy są:

- Iwona Solisz
- Patrycja Farys-Kawalec

Miejsce: główny gmach Muzeum Śląska Opolskiego

Wstęp: wolny

Czas trwania: 6 listopada 2025 r. – 30 maja 2026 r.

Jeśli kochacie historię, sztukę i atmosferę dawnych rezydencji – nie możecie tego przegapić.

Ja już wiem, że tam wrócę, by jeszcze raz poczuć klimat tej epoki.

Podzielcie się swoimi wrażeniami po wizycie – jestem bardzo ciekaw, jak Wy odbierzecie ten księżęcy ogród sztuk. Mnie osobiście brakuje w tle muzyki Carla Marii von Webera, który po odejściu z opolskiego Pokoju pełnił funkcję dyrektora opery w Pradze i Dreźnie.

Na sam koniec należy podziękować wielkimi braunami całemu zespołowi za przygotowanie tak niesamowicie wspaniałej uczyty dla duszy.

Dziękuję Wam!

Zaskoczony podróżnik i ogrodnik śląski

Maciej Mischok



Niechciane „dziecko” z Turawy

Wielu mieszkańców województw śląskiego i opolskiego zna Turawę jako popularne miejsce wypoczynku nad wodą. Mało kto jednak pamięta, że historia tego miejsca jest równie burzliwa, co malownicza. W latach 1933–1939 powstał tu kompleks zbiorników retencyjnych mających na celu regulację wód dopływających do Odry. W tamtym czasie inwestycję tę określano mianem *Turawa-Stausee* – Jezioro Turawskie. Oprócz funkcji gospodarczej planowano również stworzenie w tym miejscu ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego. W tym celu zlikwidowano kilka okolicznych miejscowości, które znalazły się na terenie przyszłego zalewu.



Zanim jednak woda przykryła doliny, w Turawie górował pałac rodziny von Garnier. W roku 1847 Karl hrabia von Garnier przeprowadził ostatnią rozbudowę rezydencji, dostosowując ją do potrzeb swojej rodziny. Budowla ta, harmonijnie wpisująca się w krajobraz dawnego parku, należy do najbardziej malowniczych założeń arystokratycznych w tej części dzisiejszego województwa opolskiego. Jej fasada, bogato zdobiona i pełna detali, przypomina nieco lukrowaną dekorację tortu. A dwa konie w ryzalitach frontowych przywodzą na myśl figury z dziecięcego pokoju – urocze, a zarazem symboliczne strażniczki dawnych czasów.

W roku 1937 rodzina von Garnier przekazała pałac na cele społeczne – powstał tam Dom Dziecka w Turawie. Po II wojnie światowej budynek nadal pełnił funkcje publiczne; przez pewien czas mieścił się tu tymczasowo Urząd Gminy Turawa. W latach 1964–1965 przeprowadzono przebudowę, przystosowując obiekt do potrzeb wychowanków domu dziecka. Przez kolejne dziesięciolecia był to dom, który wielu młodym ludziom dał schronienie i nowy początek.

Po roku 1989, wraz z transformacją ustrojową, pałac – podobnie jak wiele tego typu obiektów – stracił opiekuna. Kolejni właściciele, często przypadkowi lub kierujący się jedynie marzeniem o szybkim zysku, nie byli w stanie sprostać kosztom utrzymania i konserwacji zabytku. Z czasem pojawiły się długi, zaniedbania i brak wizji. Budowla zaczęła popadać w ruinę.

Mimo to pałac w Turawie miał szczęście – jego położenie uchroniło go przed całkowitym zniszczeniem i rozkradzeniem. W ostatnich latach uwagę na jego dramatyczny los zwrócił opolski YouTuber Roman Stark, który nagłośnił sprawę i doprowadził do zabezpieczenia obiektu. Dzięki jego determinacji pałac nie trafił w ręce tzw. „koneserów zabytków”, którzy nierzadko bardziej niszczą, niż ratują dziedzictwo. <https://www.youtube.com/watch?v=nMOBwN8fzd0>



We wrześniu bieżącego roku odbyła się pierwsza licytacja komornicza pałacu w Turawie. Niestety, zabrakło chętnych do nabycia tego niezwykłego zabytku. A szkoda – bo nieruchomość obejmuje ponad 7,3 hektara ziemi wraz z zespołem pałacowo-parkowym i zabudową towarzyszącą. Cena wywoławcza wynosiła niespełna półtora miliona złotych, co – biorąc pod uwagę historię, skalę i potencjał miejsca – stanowi kwotę więcej niż symboliczną.

Drugi przetarg ma się odbyć na przełomie grudnia i stycznia, a cena – zgodnie z przepisami – zostanie obniżona. To oznacza, że wciąż istnieje szansa, by znalazł się ktoś, kto nie tylko kupi, ale przede wszystkim uratuje tę rezydencję.

Z całego serca zachęcam do zainteresowania się tą wyjątkową nieruchomością. Pałac w Turawie to nie tylko cenny zabytek – to miejsce z duszą, z fascynującą historią, tą odkrytą i tą, która wciąż czeka, by ją opowiedzieć. Wierzę, że jeśli znajdzie się nowy właściciel z pasją i sercem, władze samorządowe oraz



lokalna społeczność pomogą mu przejść przez trudne początki i wesprą w procesie ratowania zabytku.

Sam – podobnie jak wielu społeczników – deklaruje gotowość pomocy, chociażby w zakresie kontaktów z instytucjami wspierającymi ochronę zabytków i pozyskiwanie środków na ich rewitalizację.

Dlatego proszę Was, Drodzy Czytelnicy – i Waszych znajomych – rozgłaszajcie wieść o pałacu w Turawie. To miejsce ma ogromny potencjał i czeka na człowieka, który przywróci mu życie.

To, co dziś nazywane jest „niechcianym dzieckiem”, może stać się „złotym dzieckiem” Śląska Opolskiego – przykładem, że warto wierzyć w drugie życie zabytków.

Maciej Mischok

Sprawdź, zanim pojedziesz w góry

Dwudzieste szóste Spotkanie Śladowe miało odbyć się w Bieszczadach, zaś bazą miał być Hotel Górski PTTK w Ustrzykach Górnych. Od lat staramy się wykorzystywać do naszych spotkań obiekty PTTK, choć także korzystamy z innych, takich jak prywatne pensjonaty czy domy wycieczkowe. By zarezerwować wstępnie miejsca w rzeczonym hotelu, zadzwoniłem tam w połowie października i usłyszałem: **zamykamy się 15 grudnia i otwieramy na majówkę**. Powiem tak: aż mnie zatkało. Jak to? Górski obiekt PTTK zamyka się na zimę? Jeszcze nigdy nie spotkałem się z taką sytuacją. Próba negocjacji nie przyniosła nic. Wiem z zaufanego źródła, że już minionej zimy ustrzycki hotel PTTK miał być zamknięty, ale jednak działał. Co było robić, szukałem dalej, może uda się załatwić bazę w DW PTTK w Wetlinie. Niestety, tam też usłyszałem, że zimą nieczynne. To niewiarygodne, żeby takie obiekty w takich lokalizacjach zamykać. Czy w umowach dzierżawy są punkty umożliwiające takie działanie? Jak jeżdżę w góry prawie 60 (dokładnie 58) lat o każdej porze roku, o czymś takim nie słyszałem. Owszem, w wielu schroniskach górskich zawieszają się działalność noclegową na czas bieżącego remontu czy przygotowania do sezonu zimowego na tydzień, dwa, itp., ale żeby zamykać na kilka miesięcy ot tak, bez powodu? A może tym powodem jest „**bo nie ma chętnych, bo nikt nie przyjeżdża**”? Nieprawda, nie brak turystów, choćby narciarzy, którzy chętnie skorzystaliby z takiej bazy. Niejeden raz jeździłem w góry w listopadzie czy na początku grudnia i w Tatry, i w Beskidy. Nawet trafiałem na okresy zawieszenia noclegów na czas przygotowania do sezonu zimowego, ale i wtedy dostawałem nocleg. Pamiętam, jak kiedyś na Chochołowskiej byłem jedynym nocującym. Wszystko zależy chyba od tego, czy dzierżawca jest prawdziwym gospodarzem schroniska, czy wie o co chodzi w tej turystyce, czy tylko jest zarządcą pilnującym swojego osobistego interesu.

Przytaczam tę sytuację z ustrzyckim hotelem i wetlińskim petetekowskim DW, by uświadomić, jakie pułapki mogą czekać na turystę. Planując wyjazd, trzeba dokładnie sprawdzić, czy wybrany obiekt będzie działał w zaplanowanym terminie. Sprawdzanie na stronach internetowych niewiele da, tam nie znajdziemy informacji o czasowym wyłączeniu z działalności. Tak jest w przypadku Hotelu Górskiego PTTK w Ustrzykach Górnych. Nie ma tam żadnego komunikatu o planowanym zawieszeniu działalności, a po rozwinięciu zakładki **oferta zimowa** znajdziemy tylko ofertę kilkudniowego pobytu sylwestrowo-noworocznego. Także na stronie Bieszczadzkie Hotele i Schroniska PTTK nie znajdziemy żadnej informacji dotyczącej przerwania działalności w okresie zimy 2025/26 w żadnym z obiektów. Nie znajdziemy nic konkretnego w zakładce „aktualności” ani na Facebooku, gdzie ostatnia informacja pochodzi z czerwca. **Jeżeli zatem wybieramy się w góry z zamiarem korzystania z noclegu w hotelu czy w schronisku PTTK, ale i w każdym innym obiekcie dzwońmy, by upewnić się, że dany obiekt działa i będzie działał.** Na marginesie: po raz pierwszy „pocałowałem klamkę” schroniska „Orlica” w Zieleńcu w październiku 2024 w okresie pięknej pogody, w szczycie jesiennego sezonu. Czy się zdziwiłem? Oj, tak.

Juliusz Wystouch

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnońtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Kamenz i jego najpiękniejsze ozdoby

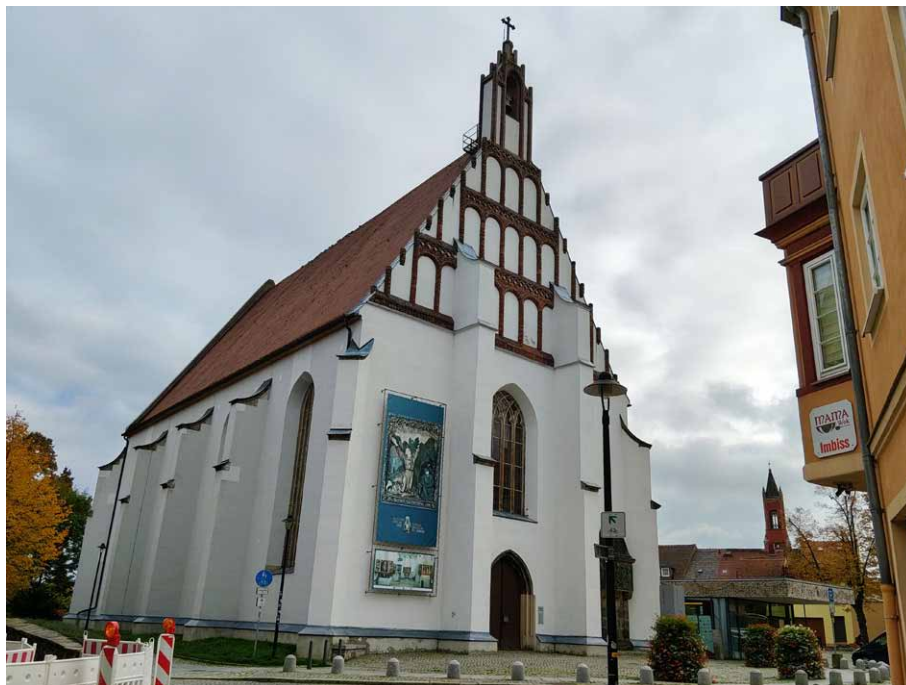
Kamenz to niewielkie miasto powiatowe położone nieopodal Drezna w Górnych Łużycach nad rzeką Czarną Elsterą. Nie jest to jednak taka byle jaka miejscowość. Założona została w 1225 roku, a więc 800 lat temu. Wzniesiona wówczas twierdza miała zabezpieczać bezpieczeństwo na szlaku handlowym Via Regia. W 1346 roku miasto przystąpiło do Górnołużyckiego Związku Sześciu Miast. Przechodziło różne koleje losu. Na początku XIV wieku weszło w skład Królestwa Czeskiego, przez krótki okres było pod panowaniem węgierskim, następnie wchodziło w skład Cesarstwa Niemieckiego, by obecnie, od 1990 roku, być częścią Wolnego Kraju Saksonia Republiki Federalnej Niemiec.

Ta niewielka miejscowość słynie z wielu cennych zabytków. Jest ich tutaj kilkadziesiąt. Warto zatem na jej zwiedzanie poświęcić kilka dni. Jeśli jednak nie mamy tyle czasu, musimy ograniczyć się do obejrzenia kilku najcenniejszych obiektów.

I tak bez wątpienia zabytkiem numer jeden w mieście jest kościół św. Marii zbudowany około 1400 roku na najwyższym wzgórzu. Niektórzy mówią, że poza wygłoszeniem w tej świątyni pierwszego ewangelickiego kazania w Kamenz w 1527 roku i ochrzczenia w 1729 roku poety Gottholda Ephraima Lessinga nie ma tu nic ciekawego, jednak nie jest to prawda. Świątynia zachwyca już z zewnątrz, a gdy wejdziemy do środka, nasz zachwyt sięgnie zenitu.

Aby nie być gołosłownym, zaczęń od początku. Kościół główny pw. Najświętszej Marii Panny w Kamenz to ewangelicko-luterański kościół parafialny. Pierwotna budowla powstała około 1275 roku. Dzisiejszy obiekt zaczęto budować pod koniec XIV wieku. Koniec prac nastąpił niemal sto lat później. W latach 1992-2005 została przeprowadzona kompleksowa renowacja budowli, co dzisiaj doskonale widać.

Zaraz po wejściu do sali panny młodej widzimy ołtarz św. Michała z 1498 roku, w którym możemy



podziwiać walkę archanioła z potworem. Co prawda, ktoś mu wyjął z dłoni miecz, ale widać, że i bez niego spokojnie sobie radzi.

Przy ścianach nawy zobaczymy łoże modlitewne, wśród których wyróżnia się „Braunaer Herrschaftsstand” z końca XIV wieku należąca do właścicieli ziemskich z pobliskiej wsi o nazwie Brauna.

Są tu także łoże rady miejskiej z roku 1680, empora cechu szewców z 1675 r. czy tzw. Ciemny chór. Spore wrażenie wywołają na nas witraże z XIX wieku przedstawiające chryścianizację Łużyc (chrzest w 1000 roku) oraz spalenie w 1520 roku bulli papieskiej „Exsurge Domine” przez Marcina Lutera.

W świątyni zobaczymy wiele ciekawych obrazów przedstawiających zarówno osoby duchowne jak i świętych czy wydarzenia z Biblii. Na pewno naszą uwagę zwróci żyrandol wiszący w środku nawy główniej ufundowany przez budziszyńskiego lekarza.

Pierwsze organy zamontowano tu w 1682 roku, kolejne w 1891 r.. Również prospekt organowy był przebudowywany. Jak ważny był to kościół, wystarczy wspomnieć, że pierwotnie znajdowało się w nim 20 ołtarzy. Dzisiaj większości już nie ma. Naszą uwagę zwróci Grupa Ukrzyżowania umieszczona na belce tęczącej pochodząca z pierwszej połowy XV wieku.

W prezbiterium zachwyca ołtarz maryjny z 1520 roku przedstawiający Marię z Dzieciątkiem otoczoną figurami sześciu aniołów. Oprócz tego widać tutaj figury Jana Ewangelisty, Jana Chrzciciela i św. Andrzeja oraz św. Krzysztofa. Pięknie prezentuje się przedstawienie Ostatniej Wieczerzy.

Najstarszą częścią wyposażenia kościoła jest chrzcielnica z XIV wieku. Co ciekawe, to cynowa misa została ufundowana w 1625 roku, a pokrywa w roku 1638 przez burmistrza miasta. To właśnie nad tą chrzcielnicą w roku 1729 został ochrzczony najslawniejszy obywatel miasta Gotthold Ephraim Lessing – dramaturg, pisarz, krytyk literacki epoki oświecenia, reformator teatru niemieckiego. Przed prezbiterium dostrzeżemy nagrobki rodziców pisarza oraz jego dziadka, który był burmistrzem Kamenz. W uliczce tuż obok świątyni możemy usiąść na ławeczce, by podziwiać pomnik upamiętniający pisarza. To właśnie tutaj znajdował się dawniej budynek archidiakonatu, w którym zamieszkiwali rodzice pisarza i on sam w pierwszych latach swojego życia.



Trzeba wspomnieć, że wokół świątyni znajduje się czynny cmentarz, na którym dostrzeżemy także starsze nagrobki. Nekropolię założono prawdopodobnie w XIII wieku, jednak po raz pierwszy wzmiankowano ją w 1472 roku. Innym ciekawym obiektem jest kościół katechizacyjny, który był częścią średnio-wiecznych fortyfikacji miejskich i jako taki posiadał stanowiska dla strzelców.

Kolejnym obiektem, który musimy odwiedzić będąc w Kamenz,





jest ratusz pierwotnie wybudowany w 1225 roku. Niestety, strawił go pożar i w 1275 roku wybudowano nowy obiekt. W 1508 roku wzniesiono kolejny budynek służący także jako dom towarowy. To wtedy znajdowały się w nim zakłady rzemieślnicze (kuśnierzy, szewców), była piwnica na wino, waga ratuszowa. Po kolejnych pożarach wzniesiono obecny obiekt (1847). Co ważne, to fakt, że mimo iż jest to dzisiaj obiekt biurowy, można bez problemu go zwiedzać i podziwiać liczne zachowane wyposażenie.

Na rynku znajduje się ciekawa w formie fontanna Andreasa z 1570 roku. Jak podają kroniki „dr Andreas Günther, burmistrz Kamenz zlecił ozdobienie tej studni na własny koszt z miłości do swojego rodzinnego miasta”.

Warto podczas krótkiego pobytu w Kamenz zwiedzić kościół klasztorny św. Anny z Muzeum Sztuki Sakralnej, Muzeum Lessinga czy pospacerować po jednym z licznych parków. Kto nie ma lęku wysokości, może wspiąć się na jedną z licznych wież, by podziwiać widoki. Najpiękniejsze będą z wieży kościoła św. Marii oraz Czerwonej Wieży o wysokości 32 metrów będącej częścią Bramy Pulsnitz.

Ponieważ ważnym podczas poznawania nowego miejsca jest odpoczynek, wspomnę tylko, że Kamenz ma długie tradycje targowe, co przekłada się na działające często od stuleci gospody. Jedną z nich jest obecna restauracja „Złoty Jeleń”, w której wyprawiono ucztę, gdy narodził się Lessing. Budynek ten ma swoją tajemnicę. Okazuje się, że podczas pożaru w 1842 roku, gdy spłonęło niemal całe miasto, on ocalał. Początkowo nie potrafiono wytłumaczyć tego faktu. Po pewnym jednak czasie przypomniano sobie, że gdy wiele lat wcześniej pewna cyganka, nie mając pieniędzy na zapłatę za posiłek, zaproponowała właścicielowi odmówienie błogosławieństwa chroniącego obiekt przed ogniem, ten się zgodził. Jak widać, warto było!



Krzysztof Tęcza

Alpy (4) – z Forclaz przez Col de Balme do Tre le Champ

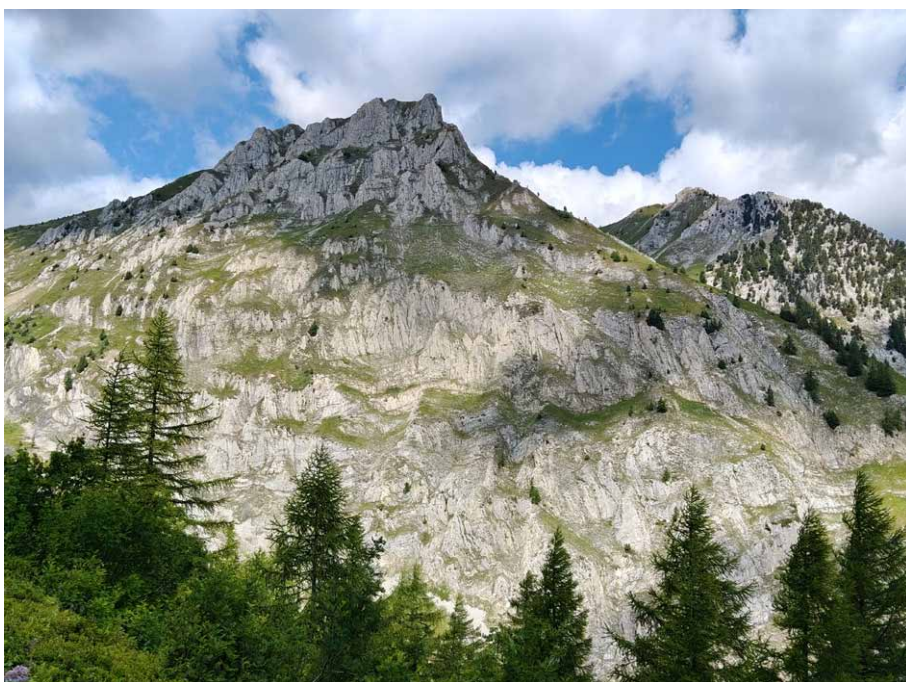
Ten trekking zapowiadał się bardzo ciekawie. Z nastaniem ranka ruszyliśmy na przełęcz Forclaz (1526 metrów n.p.m.) po szwajcarskiej stronie, by wdrapać się do schroniska Col de Balme (2191 m n.p.m.) znajdującego się na granicy szwajcarsko-francuskiej i stamtąd dotrzeć do Tre Le Champ (1417 m n.p.m.) we Francji. Jak widać, przewyższenie w górę to prawie 900 metrów, a w dół niemal 800. Całość to niespełna 13 kilometrów. Jednak, jak się okazało, wcale nie było łatwo.

Po przejechaniu na stronę szwajcarską dotarliśmy do polany z parkingiem, polem namiotowym i przystankiem komunikacji miejscowej. Pogoda dopisywała. Wszystko zapowiadało się ciekawie. To przyjazne turystom miejsce znajduje się 10 minut od miejscowości Trient.

Od razu weszliśmy na Tour de Mont Blanc, nasz ulubiony szlak turystyczny. Niestety, ledwie doszliśmy do lasu, kiedy droga zaczęła piąć się w górę. Tylu zakosów i tak stromego podejścia nie widziałem już dawno. Nic też dziwnego, że nasza grupa szybko rozciągnęła się. Nie byliśmy jednak sami na szlaku. Razem z nami podążali miejscowi turyści oraz grupy turystów z Japonii. Bardzo szybko tak się wymieszaliśmy, że chyba nikt nie był w stanie określić, kto z której jest grupy. Pot zalewał nam oczy. Ciągłe patrzyliśmy pod nogi, by nie potknąć się o jakiś wystający korzeń.

Jedyną ciekawostką, jaką wypatrzyłem po drodze, była przymocowana do skalnej ściany tablica upamiętniająca Charlesa Eugene Ramuza – inżyniera, porucznika artylerii zmarłego na Glacier des Grands (lodowiec we Francji) w 1902 roku.

Gdy tylko wyszliśmy z lasu, naszym oczom ukazały się widoki



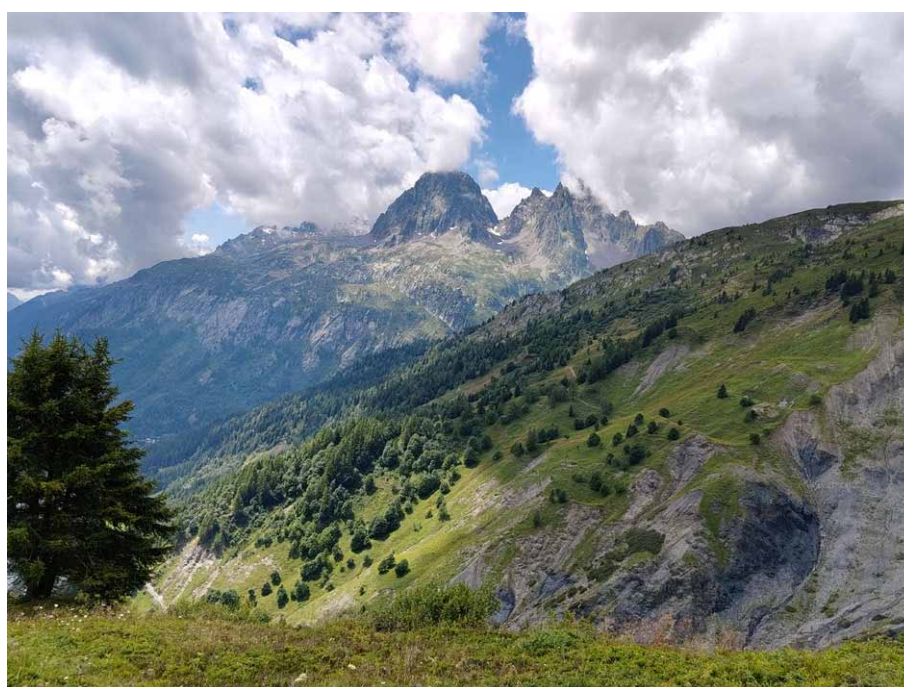
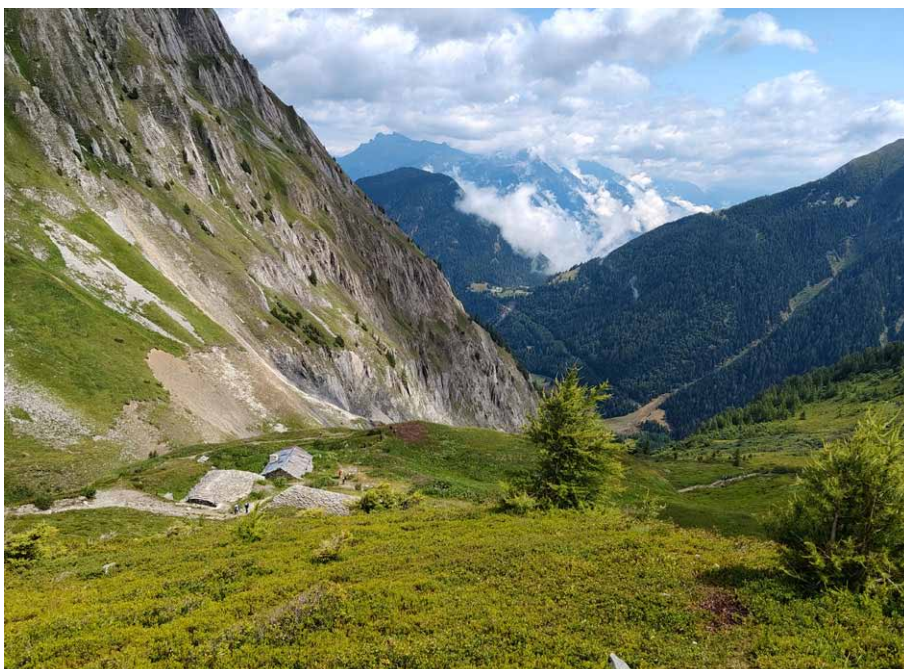
zarówno na widoczny w dole Trient jak i stojące wysoko nad nami schronisko Glacier des Grands. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę, by nacieszyć się tymi widokami. Idąc dalej, usłyszeliśmy jakieś gwizdy. Okazało się, że po przeciwnej stronie doliny mieszka kolonia świstaków. To one się tak nawoływały. Widoczne wejścia do ich norek czy ich gwizdy to jedno, ale wypatrzenia żywego osobnika w terenie to zupełnie inna sprawa. Nie wiem nawet jak długo staraliśmy się namierzyć choć jednego osobnika, ale w końcu udało nam się. Mogliśmy ruszać dalej.

W końcu jesteśmy na Col de Balme, przełęczy położonej na wysokości 2191 m n.p.m. To tutaj znajduje się granica pomiędzy Szwajcarią a Francją. Oficjalnie mówi się, że panorama z tej przełęczy nie ma sobie równej w całym rejonie Mont Blanc. A jak to bywa w takich miejscach, od razu poczuliśmy silny, przenikliwy wiatr. Dlatego nasz odpoczynek nie trwał długo. Ledwie wystarczyło czasu, by skorzystać z toalety i zajrzeć do schroniska Refuge du Col de Balme (2204 m n.p.m.), a już dostaliśmy rozkaz wymarszu. Nie pozostało nic innego, jak wykonać polecenie. Udaliśmy się na stronę francuską i dosyć męczącymi zakosami zeszliśmy do górnej stacji kolejki gondolowej zwożącej turystów do miejscowości Le Tour.

My, oczywiście, po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej pieszo. I muszę przyznać, zostaliśmy za nasz trud wynagrodzeni. Wkrótce bowiem ukazał nam się widok na lodowiec Glacier du Tour.

Muszę powiedzieć, że opisana trasa była bardzo wymagająca, co przełożyło się na nasze zmęczenie. Dlatego byliśmy radzi, gdy ujrzeliśmy nasz autobus zaparkowany na parkingu.

Krzysztof Tęcza



U wylotu Rodanu (4)

Pisząc o „wylocie Rodanu”, mam na myśli wylot tej wielkiej rzeki z wcale nie mniejszego Jeziora Genewskiego. Po kilkumiesięcznej przerwie proponuję powrót do miasta położonego u „wylotu Rodanu” – czyli do Genewy. Jak wiadomo, dzieje miast – zwłaszcza tak specyficznych jak Genewa – piszą nie tylko historyczne wydarzenia i wyjątkowe budowle, ale również ich wybitni obywatele. Dlatego teraz kilka słów



Guillaume Henri Dufour (ok. 1840)

O generale Dufourze

Główną postacią owej historii, znaną już Czytelnikom ze wzmianki w drugim odcinku cyklu „U wylotu Rodanu” (styczeń 2025), jest Guillaume Henri Dufour. Wszechstronnie wykształcony inżynier i wojskowy (artyleria i korpus inżynieryjny), specjalista od fortyfikacji, służył początkowo w armii francuskiej. Urodzony w 1787 r. w Konstancji (wówczas austriackiej), po upadku Napoleona przeniósł się do Genewy, skąd zresztą pochodzili jego rodzice. Tam został profesorem matematyki na akademii, następnie kierownikiem inżynierii kantonowej, a w końcu inżynierem kantonowym Genewy odpowiedzialnym za urbanistykę i fortyfikacje. Jako inżynier-urbanista przeprowadził w Genewie wiele ważnych prac, budując m.in. nowe nabrzeża, projektując kilka mostów i kładek czy zagospodarowując Île aux Barques (patrz „U wylotu Rodanu (2)” oraz „(3)”, styczeń i luty 2025). Jako ciekawostkę można podać, że już w 1823 r. doprowadził do budowy nad jedną z suchych fos, otaczających wówczas miasto, pierwszego w dziejach mostu wiszącego na stalowych linach – tzw. kładki św. Antoniego (fr. *passerelle de Saint-Antoine*). Most, składający

się z dwóch przęseł o rozpiętości odpowiednio 109 i 75,5 stopy, istniał do lat 50. XIX w., kiedy to rozpoczęto likwidację dawnych umocnień bastionowych Genewy. Podobny, lecz znacznie większy most (ostatecznie niezrealizowany) zaprojektował dwa lata później dla Fryburga, o czym wspominałem w tekście „Spacerem po Fryburgu (3). Mosty Fryburga” („NS” czerwiec 2024).

W międzyczasie w 1819 r. Dufour był jednym z założycieli Centralnej Federalnej Szkoły Wojskowej w Thun, a w latach 1831-1834 jej komendantem. W 1847 r. objął dowództwo armii szwajcarskiej w stopniu generała i w tym samym roku został zwycięzcą tzw. wojny Sonderbundu (3-29 listopada), która ostatecznie doprowadziła do powstania obecnej Konfederacji. Był



Nieistniejąca kładka s'Antoine w Genewie projektu Dufoura

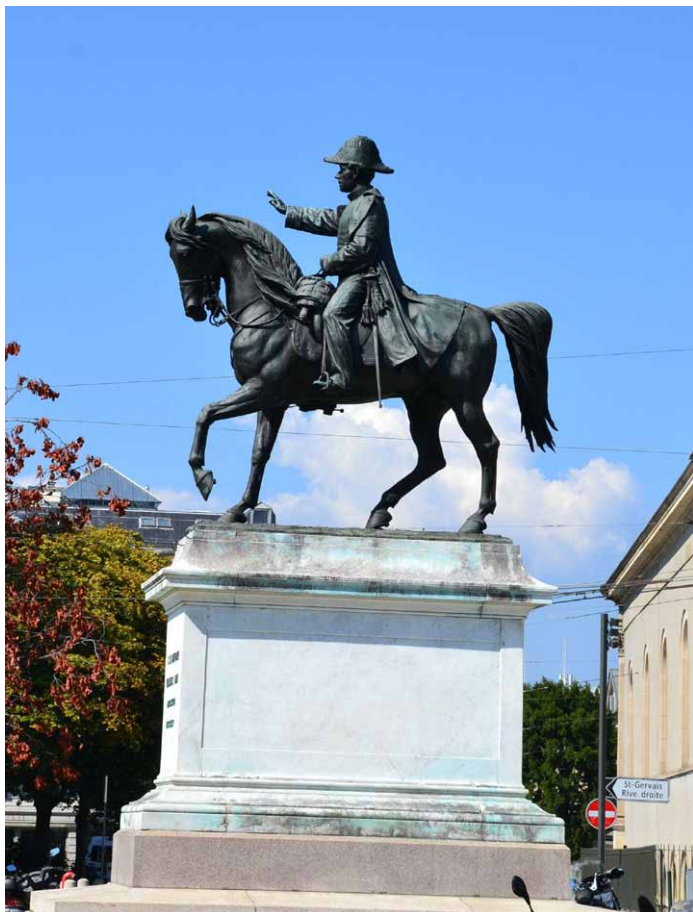


Zaproszenie na bankiet z okazji inauguracji pomnika G. H. Dufoura (1884)

z Henri Dunantem organizacji Czerwonego Krzyża. Dufour był przewodniczącym zgromadzenia komitetu tej organizacji od 1863 do 1864 roku, a następnie pozostał jego honorowym przewodniczącym. W sierpniu 1864 r. zorganizował w Genewie międzynarodową konferencję, na której uchwalono tzw. Pierwszą Konwencję Genewską. Był niezwykle pracowity w tej organizacji: za swego życia uczestniczył łącznie w 214 z 227 spotkań Komitetu Czerwonego Krzyża.

W 1867 r. zrzekł się wszystkich stanowisk oraz urzędów i przeszedł na emeryturę. Dziś w Genewie, w domu w dzielnicy Eaux-Vives, w którym mieszkał od czerwca 1845 r. do śmierci, odbywają się co jakiś czas Salony Generała Dufoura: spotkania i pogadanki, podczas których miłośnicy historii mogą wymieniać się informacjami na temat generała i jego rozlicznych dzieł.

Jest ważny powód, dla którego wspominam dziś szerzej o tym wybitnym człowieku: Dufour zmarł 150 lat temu, 14 lipca 1875 r. Jako wyjątkowa postać w dziejach Szwajcarii został wielokrotnie upamiętniony



Pomnik G. H. Dufoura w Genewie

w najrozmaitszy sposób. W uznaniu zasług generała dla kraju w 1863 r. (a więc jeszcze za jego życia) nazwano jego imieniem Pointe Dufour (4 634 m n.p.m.) w masywie Monte Rosa, najwyższy punkt Szwajcarii.

Jego podobizna zdobiła banknot 20-frankowy będący w Szwajcarii w obiegu w latach 1956-1980. Ulice i place jego imienia spotkamy w wielu miastach kraju Helwetów. W Genewie jako bodaj najokazalszą pamiątkę należy wymienić monument na Place Neuve z 1884 r. Składa się z podstawy wykonanej z różowego granitu z Baveno, cokołu z marmuru karraryjskiego, wykutego przez kamieniarza Henneberga, oraz brązowej statuy konnej nawiązującej do roli generała w wojnie Sonderbundu, będącej dziełem Karla Alfreda Lanza. Załączona ilustracja przedstawia zaproszenie na bankiet z okazji inauguracji pomnika Guillaume'a H. Dufoura zorganizowany 2 czerwca 1884 r. w holu genewskiego teatru. Obok popiersia generała widzimy na nim fragment... wylotu Rodanu, w tym (od lewej) Most Mont Blanc, Wyspę Berek i Pont (Most) des Bergues.

14 lipca bieżącego roku na genewskim cimetière des Rois odbyły się rocznicowe uroczystości zorganizowane przez Société Henry Dunant i specjalnie powołane w tym celu stowarzyszenie Dufour 1875–2025. W obecności 150 osób, w asyście orkiestry

Landwehry, odsłonięte zostały odnowione grobowce rodziny Dufour. Obok usytuowano planszę z kodem QR: wczytując go smart fonem, uzyskamy wiele informacji o generale.

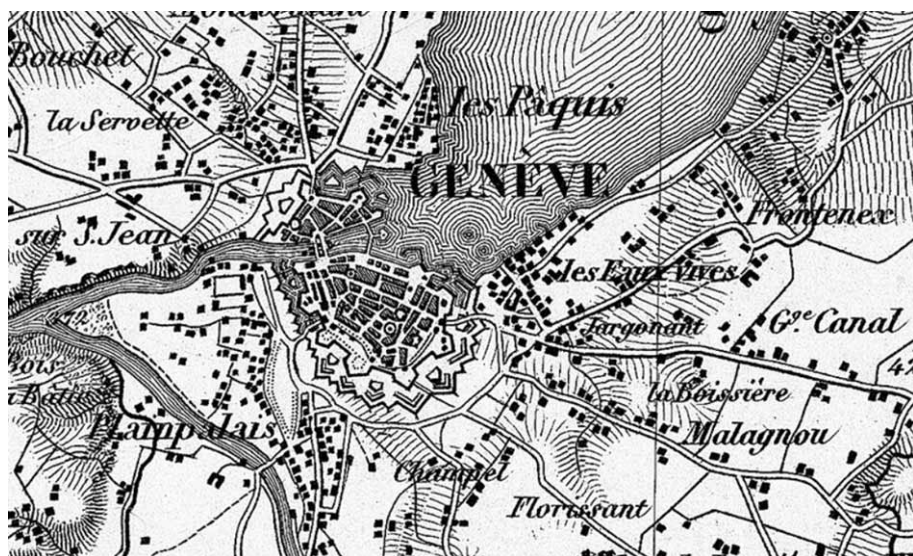
O potrzebie posiadania map

Żadnego turysty nie trzeba przekonywać o tym, ile znaczy dobra mapa. Precyzyjne mapy są jednak o wiele ważniejsze dla administracji publicznej, dla inżynierów budujących drogi, mosty i tunele i wreszcie dla armii. To właśnie środowiska wojskowe były w XIX w. bodaj we wszystkich europejskich krajach głównymi inicjatorami opracowania maksymalnie precyzyjnych map topograficznych. Zapewne większość z nas zetknęła się już z owocami któregoś z trzech kartowań austriackich (całe nasze Karpaty!), z mapami pruskimi (Śląsk z Sudetami, Wielkopolska, Pomorze) czy rosyjskimi. Przypuszczam jednak, że mało kto zna historię współczesnej kartografii szwajcarskiej, podobnie jak i główne postacie, które ją tworzyły. A historia ta dość mocno związana jest z pewnym obiektem znajdującym się „u wylotu Rodanu”.

Jak można sobie wyobrazić, Dufour zdawał sobie sprawę (jako wojskowy i kartograf) z konieczności dysponowania dobrymi, aktualnymi mapami. Dlatego już w 1838 r. zorganizował Federalne Biuro Topograficzne (fr. *Bureau topographique fédéral*, istniejące do dziś jako *Office fédéral de topographie*), którego zadaniem było opracowanie zdjęcia topograficznego państwa w podziałce 1 : 100 000 opartego na dokładnych pomiarach trygonometrycznych i niwelacyjnych. Pomiarzy rozpoczęto w 1845 r. Pierwszy kompletny atlas topograficzny Szwajcarii, zwany dziś powszechnie „mapami Dufoura”, został ukończony w grudniu 1864 r. Obejmował on 25 arkuszy o wymiarach ok. 70 x 48 cm w odwzorowaniu stożkowym wiernopowierzchniowym, reprodukowanych metodą miedziorytu. Jego oficjalna nazwa brzmi *Topographische Karte der Schweiz* i – co ciekawe – nie miał on nigdy innej oficjalnej nazwy (np. francuskiej czy włoskiej).

Rzeźba terenu i różnice wysokości na „mapach Dufoura” były zasadniczo przedstawiane przez szrafowanie (kreskowanie). Początkowo mapa była jednobarwna, w 1908 r. udoskonalono ją poprzez dodanie koloru, a w 1938 r. kolejnego. Ostatnia aktualizacja mapy miała miejsce w 1939 r. Dziś mapy te dają nam dokładne wyobrażenie o geografii Szwajcarii od pierwszej połowy XIX w. do początku wieku XX. Są nieocenionym źródłem wiedzy np. o pierwotnych biegach rzek, przebiegu dawnych dróg czy o zanikłych już osadach i ich nazwach. Przedstawione na nich zasięgi lodowców stanowią nieocenioną pomoc w analizach zmian klimatu w ostatnich dwóch stuleciach.

G. H. Dufour pragnął, by pomiary wysokości oprócz o własny „wzorzec”, jakim według niego mogłyby być (opisane niżej) Pierres du Niton. Ostatecznie jednak jako punkt odniesienia dla danych wysokościowych dla map Dufoura przyjęto szczyt Chasseral w górach Jura, czwarty co do wysokości szczyt Jury szwajcarskiej i najbardziej na północ wysunięty szczyt tych gór, przekraczający 1600 m n.p.m. Astronom Johannes Eschmann na podstawie najnowszych wówczas pomiarach francuskich ustalił jego wysokość w 1840 roku na 1 609,57 m n.p.m.



Fragment mapy Dufoura: Genewa i wylot Rodanu z Jeziora Genewskiego (Blatt XVI Geneve Lausanne)



Fragment mapy Lemanu z 1763 r. (Jean Beaurain)

Pierres du Niton

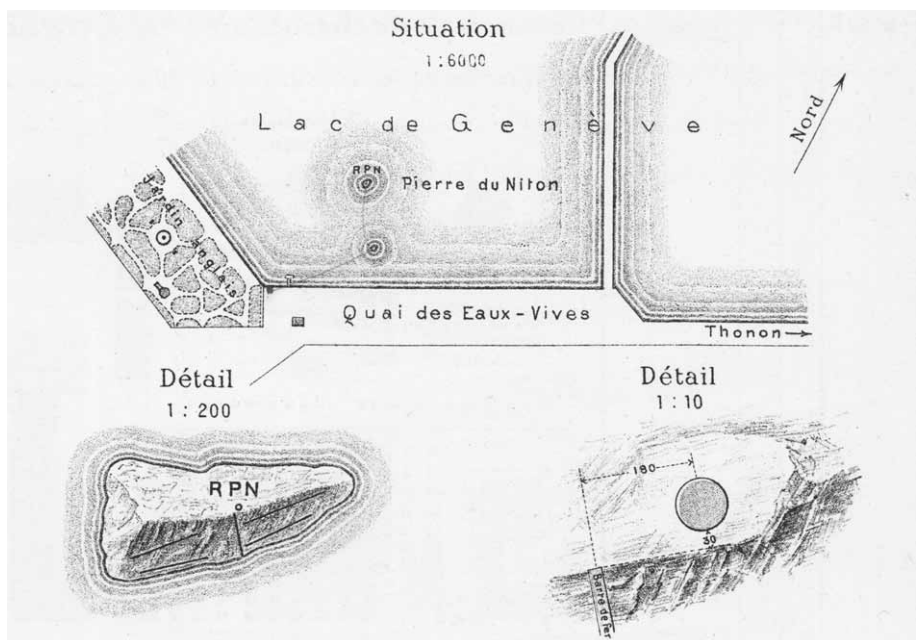
Piękna mapa pt. „Lacus Lemani; Vicinorumque Locorum Nova et Accurata Descriptio” z atlasu Jodoka Hondiusa, który od lat 30. XVII w. miał kilka wydań. Obok zamieszczona jest jej młodsza kopia wydana w Paryżu w 1763 r. (Jean Beurain, miedzioryt kolorowany). W Genewie, u wylotu Rodanu, na powierzchni jeziora widać wyraźnie wystającą z wody skałę, przy której odczytujemy napis: *La pierre a Neyton olim lapis Neptuni*.

W rzeczywistości dziś znajdziemy w tym miejscu dwa bloki granitu wystające z wód Jeziora Genewskiego. Położenie owych Pierres du Niton zanaczono na planie Genewy gen. Dufoura z 1842 r. (patrz „U wylotu Rodanu (2)”, styczeń 2025). Znajdują się one na lewym brzegu portu genewskiego, niedaleko ujścia Rodanu z Jeziora Genewskiego, w obrębie portu Jetée des Eaux-Vives. Można je zobaczyć z nabrzeża Gustave-Ador i Promenady du Lac, w pobliżu przystani Eaux-Vives, gdzie dobiegają genewskie „tramwaje wodne” (*mouettes genevoises*). Kamień zwany Niton jest położony dalej od brzegu, natomiast kamień Dyolin jest położony bliżej.

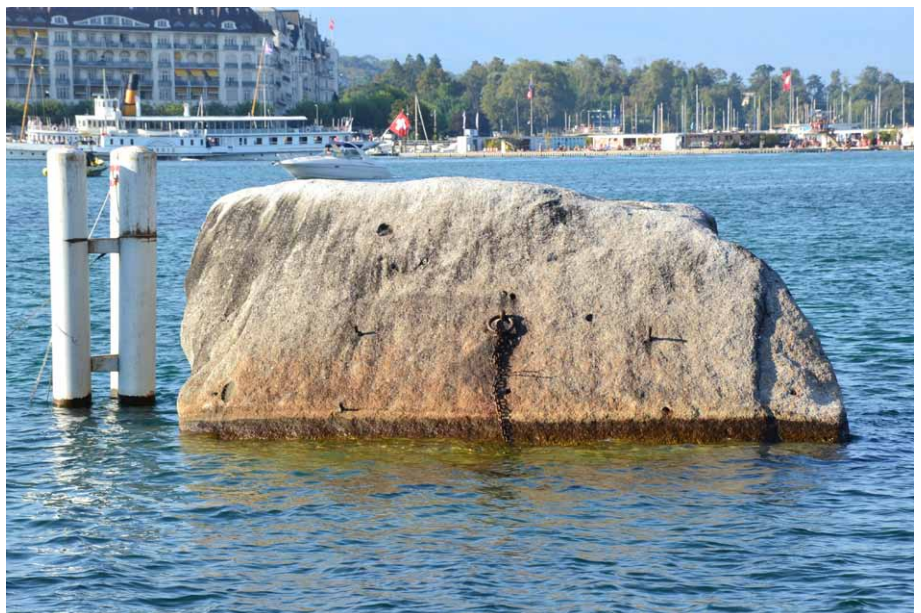
Od dawna zainteresowanie budziły zarówno nazwa jak i pochodzenie owych kamieni. Nazwę wiązano często z imieniem rzymskiego boga wód i oceanów, Neptuna. Z kolei słowo *nemeton* w języku galijskim oznaczało sanktuarium, miejsce sprawowania kultu religijnego Celtów. „Niton” może również pochodzić od słowa *neiton*, w miejscowym dialekcie języka franko-prowansalskiego oznaczającego diabła – ma się to łączyć z powszechnym dawniej wyobrażeniem, że tylko diabelska siła była zdolna przynieść kamienie w to miejsce.

O ile dyskusje o pochodzeniu nazwy trwają dalej, o tyle już epoka Oświecenia przyniosła pierwsze naukowe próby określenia pochodzenia przedmiotowych eratyków. To Horace Bénédict de Saussure, wybitny genewski przyrodnik, w swych *Voyages dans les Alpes* w 1779 r. jako pierwszy opisał skały, które uznał za granity, „które mogą pochodzić jedynie z wysokich Alp”. Pierwotnie sądzono, że owe skały przyniósł w to miejsce lodowiec spływający doliną Arve. Jednak późniejsze badania wykazały, że lodowiec ten za bardzo „skręcał” na południe, uchodząc do dzisiejszej doliny Rodanu już poniżej jego ujścia z obecnego jeziora. Współczesne badania pokazują, że kamienie przywłókł w obecne miejsce wielki Lodowiec Rodanu. Materiał obu skał to granit porfirowy o widocznej foliacji, z wyraźnymi kryształami skaleni i licznymi wtrąceniami amfibolitów (przy czym składy mineralne obu kamieni wyraźnie się różnią!). Struktura granitu, a zwłaszcza foliacja, wskazały, że powinien on pochodzić z masywu Mont Blanc. Potwierdziło to datowanie U-Pb (*Uranium-lead dating*) próbek pobranych z kamieni i z Mont Blanc: ich wiek określiło identycznie, na 303 ± 2 mln lat.

Kamienie spoczywają na grubej na ok. 80 m warstwie gliniasto-piaszczystych sedymentów lodowcowych będących pozostałością po



Pierres du Niton na szkicu z 1895 r. (Wikimedia)



Pierres du Niton: kamień Dyolin; widoczny żelazny hak z kółkiem do cumowania dawnych barek

cofaniu się lodowca ostatniej epoki lodowcowej, zwanej tu w Alpach zlodowaceniem Würm. Pod nimi znajduje się jeszcze gruba na ok. 10 m warstwa osadów morenowych spoczywająca już na podłożu z molasy budującej Szwajcarskie Plateau.

Poczynając od XVII w. w Genewie podejmowano próby wykorzystania w różny sposób wód Rodanu, budując u jego wylotu z jeziora różne jazy, zapory i stawidla (o czym napiszę jeszcze w kolejnym odcinku cyklu). Od tego też czasu mieszkańcy nadlemańskich kantonów Vaud i Valais obwiniali genewczyków o powodowanie dużych wahań poziomu wody w jeziorze powodujących znaczne szkody w ich majątku i utrudniających korzystanie z portów. Guillaume H. Dufour, jako inżynier kantonalny w Genewie, postanowił wykorzystać kamień Niton, uważany za stabilny, jako punkt odniesienia do monitorowania poziomu wody w jeziorze. W 1820 r. przymocował do górnej krawędzi kamienia za pomocą brązowej płyty liniał z podziałką o długości dziewięciu i pół stopy. Ten „stopniowany żelazny pręt” umieszczono na wschodniej ścianie skały, tak aby „za pomocą dobrego teleskopu można było bardzo wyraźnie odczytać podziałkę”. W ten sposób powstał pierwszy na Lemanie limnimetr, czyli urządzenie do pomiaru wysokości lustra wody w jeziorze.

Charles-Marie Filhon, francuski inżynier-geograf, na podstawie wskazania mareografu w Marsylii ustalił w 1820 r. wysokość kamienia Niton wynoszącą 376,55 m n.p.m. Hermann Siegfried w 1879 r. określił wysokość repera na kamieniu Niton na 376,86 m n.p.m. Z czasem nowsze pomiary znacząco skorygowały tę wielkość. Obecnie oficjalna mapa Swisstopo podaje zaokrągloną wartość 373,6 m n.p.m. Reper chroniony jest specjalną osłoną, bo kamień jest ulubioną „suszarnią” dla tutejszych kormoranów...

Mirosław J. Barański



Pierres du Niton: kamień Niton; między dwoma pierwszymi kormoranami od lewej widoczny reper geodezyjny

26. SPOTKANIE ŚLADOWE „NA SZLAKU”

Aktualizacja informacji

Kontynuując wieloletnią tradycję, zapraszam na towarzysko-turystyczne 26. SPOTKANIE ŚLADOWE CZYTELNIKÓW I SYMPATYKÓW „NA SZLAKU”. Na przelomie lutego i marca 2026 roku spotkamy się w **Wetlinie w Zajeździe pod Połoniną. Miejsce 27**. Adres: Wetlina 69. **Termin spotkania to 28.02. – 4.03**. Obiekt wygodny, obszerny i zlokalizowany w miejscu umożliwiającym podejmowanie wycieczek w wielu kierunkach. Można zabrać psa. Zamówimy śniadania i obiadowe kolacje. Dojazd najlepiej własnym samochodem, można umówić się ze znajomymi na wspólną podróż. Możliwy dojazd komunikacją publiczną od strony Sanoka, Leska, ale możliwości dojazdu należy sprawdzić bezpośrednio przed terminem spotkania, kiedy nastąpią sezonowe zmiany w rozkładach jazdy przewoźników. Dojazd do Sanoka koleją z Krakowa pociągami relacji Kraków – Zagórz. **Zgłoszenia przyjmuję (Juliusz Wysłouch) pod tel.: 517 222 664, najlepiej e-mailem julo.tela@pro.onet.pl do 15 stycznia**. To najnowsze ustalenia z gospodyniami obiektu. O kwocie zadatku i formie wpłaty poinformuję indywidualnie po 15.01. Z założenia będzie to 30% całości opłaty. Co do wycieczek, to w naszym zasięgu może być trasa z Wetliny przez Szczob (szl. zielony) na Jawornik (1021m n.p.m.) i powrót szlakiem żółtym. Spróbujemy wyjścia na Przełęcz Orłowicza i do Chatki Puchatka na Połoninie Wetlińskiej. Jeśli warunki pozwolą, spróbujemy pokonać trasę na Przeł. Orłowicza i dalej do Bacówki PTTK „Jaworzec”, z powrotem doliną potoku Wetlina do Kalnicy skąd Wielką Obwodnicą Bieszczadzką na kwaterę. Przygotujmy się na trasy całodniowe.

Zapraszam. Juliusz Wysłouch

Małe Polesie

Przyrodniczy Park Narodowy Małe Polesie został utworzony w 2013 r. na terenie rejonu szepetowskiego w obwodzie chmielnickim. Zajmuje powierzchnię 87,6 km². Park objął w stałe użytkowanie 27,6 km² gruntów lasów państwowych, wyłączonych od dotychczasowych użytkowników, resztą park zarządza bez wyłączenia gruntów od tych użytkowników. Obszary leśne wyróżniają się bogatą bioróżnorodnością: obejmują jeziora i bagna, a także zalesione doliny rzek Horyń, Wilia i Gniły Róg. Park jest malowniczy dzięki zespołom przyrodniczym typowym dla Polesia: są to równiny i lasy na piaszczystych glebach.



Jezioro Błękitne

Obecność rozległych obszarów leśnych i bagien wpływa na tutejszy klimat, który jest umiarkowanie kontynentalny, ale z łagodną zimą, wilgotną wiosną i ciepłym latem. Średnia temperatura w styczniu wynosi -5°C , a w lipcu $+18^{\circ}\text{C}$. Opady roczne są na poziomie 700 mm. Grubość pokrywy śnieżnej dochodzi do 22 cm. Zimą przeważają wiatry północne, latem – zachodnie.

W parku zidentyfikowano 803 gatunki roślin naczyniowych. Większość terenu (95%) zajmuje roślinność leśna. Przeważają bory sosnowe, niewielkie tereny zajmują lasy dębowo-sosnowe i grabowo-dębowe. Są rozległe obszary bagien, występują jeziora, w wyniku eksploatacji torfu powstały sztuczne jeziora. Na terenie parku jest 27 gatunków roślin wpisanych do „czerwonej księgi” Ukrainy.

W parku wśród zwierząt występuje 151 gatunków ptaków, 48 gatunków ssaków, 12 gatunków płazów i 7 gatunków gadów. 13 gatunków zwierząt wpisano do europejskiej „czerwonej księgi”. Są to m.in. orzeł bielik, kania czarna, karaś złoty i leszcz rosyjski. 70 gatunków zwierząt znalazło się w „czerwonej księdze” Ukrainy. Gniazdują lub przebywają w parku: bocian czarny, żuraw szary, cietrzew, rybołów, gadożer, gołąb modry, dzięcioł zielony. Żyją ssaki drapieżniki: wilk, lis, borsuk, kuna, wydra. Występują bóbr europejski, piżmak, wiewiórka zwyczajna. Z parzystokopytnych są łoś, sarna, dzik. Spośród płazów żyją tu żaba błotna, żaba trawna, zaś spośród gadów – wąż błotny, padalec zwyczajny i jaszczurka błotna. Wśród ryb dominują karpio-wate i okoniowate.

Hydrologicznym pomnikiem przyrody jest Jezioro Święte, ma unikatowy ekosystem z rzadkimi gatunkami roślin, jest położone w leśnej gęstwinie. Jeziora Błękitne są kaskadą sztucznych zbiorników wodnych, które powstały w miejscu, gdzie dawniej wybierano piasek. Mają krystalicznie czystą wodę o błękitnym odcieniu i położone są wśród lasów sosnowych. Przez park przepływa rzeka Horyń, która wpada w Prypeć na terenie Białorusi, zaś Prypeć jest dopływem Dniepru.



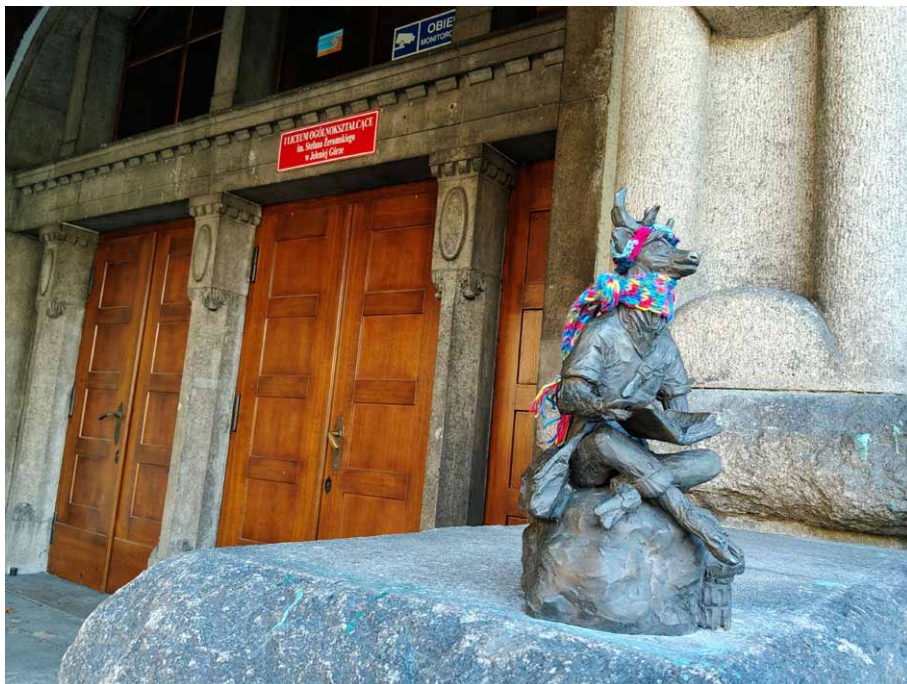
W rezerwacie hydrologicznym

W parku wytyczono szlaki turystyczne i ścieżki ekologiczne. Oznakowano trasę rowerową (19,5 km), łączącą miasto Iziaslów przez park z miastem Sławuta. Iziaslów jest miastem, które ma takie zabytki, jak: ruiny zamku z XV w., ruiny pałacu książąt Sanguszków, barokowy klasztor bernardynów i kościół św. Józefa z XVIII w. Niedaleko we wsi Horodyszczce archeolodzy odkopali resztki ruskiego grodu Iziaslów, który w 1241 r. został spalony przez Mongoło-Tatarów; zdobyli go mimo trzech linii wałów i rowów. Najbliższymi miastami od wschodu i zachodu są Szepetówka i Niecieszyn. W Niecieszynie od 1987 r. działa Chmielnicka Elektrownia Atomowa.

Janusz Fuksa

44. spacer historyczno-krajoznawczy – do I LO w Jeleniej Górze

29 października 2025 roku zaprosiłem chętnych na 44. spacer historyczno-krajoznawczy organizowany przez Muzeum Karkonoskie i Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Tym razem za temat spaceru obrałem historię I Liceum Ogólnokształcącego w Jeleniej Górze popularnie nazywanego „Żeromem”. Szkoła za patrona ma Stefana Żeromskiego, więc nic dziwnego, że właśnie takie miano do niej pasuje. Oczywiście, w szkole jest więcej odniesień do Stefana Żeromskiego. Uczniowie, wchodząc do jednej z sal, witają się ze znajdującym się tam szkieletem anatomicznym człowieka pieszczotliwie nazywanym Stefankiem, a z okazji ostatniego święta przed wejściem do szkoły ustawiono kolejnego w Jeleniej Górze jelonka, któremu również nadano imię Stefanek.



Ponieważ w roku obecnym I Liceum Ogólnokształcące w Jeleniej Górze obchodzi jubileusz 80-lecia działalności, przygotowano uroczystą akademię, w której uczestniczyli zarówno uczniowie jak i nauczyciele szkoły. Oczywiście, przybyli także absolwenci z poprzednich roczników jak i emerytowani nauczyciele. Szkołę odwiedzili przedstawiciele władz samorządowych i oświatowych. Było wiele ciekawych rozmów, były życzenia i podziękowania, ale chyba najważniejszym okazały się wzruszenia, których wiele osób nie kryło.

Wracając jednak do samej szkoły. Początek nauczania w tym obiekcie miał miejsce już w 1913 roku. Niemiecka placówka oświatowa otrzymała za patronów braci Humboldtów. Alexander von Humboldt był jednym z twórców nowoczesnej geografii, a Wilhelm von Humboldt wywarł znaczący wpływ na rozwój filozofii, językoznawstwa i edukacji.

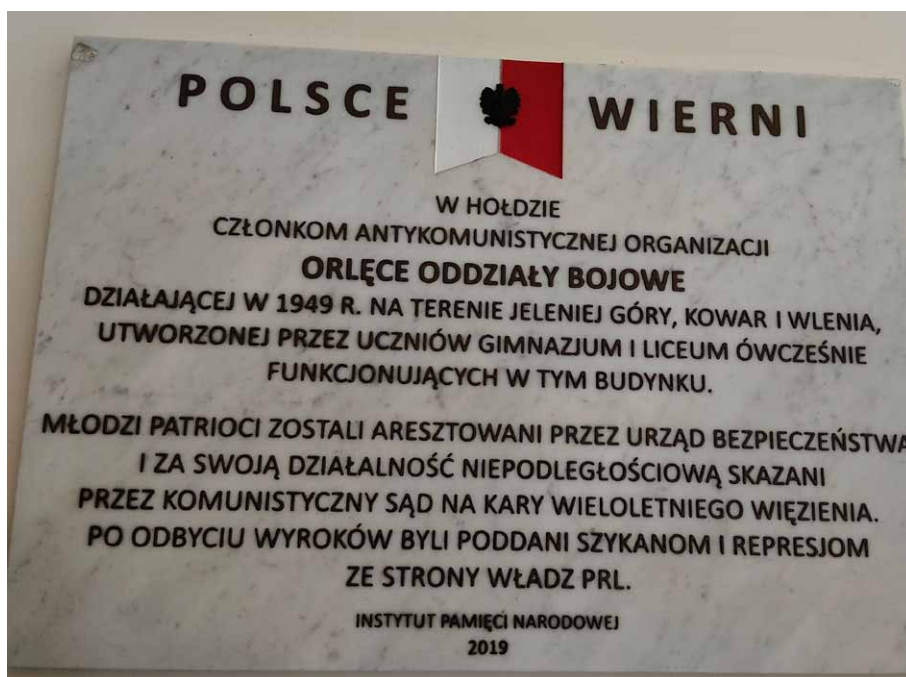


Pierwsi polscy uczniowie rozpoczęli naukę w 1945 roku. Początkowo szkoła funkcjonowała jako

Państwowe Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące w Jeleniej Górze. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku powołano liceum pedagogiczne. W 1956 roku miała uroczystość nadania szkole imienia Stefana Żeromskiego.

W trakcie 80 lat działalności szkoły miało miejsce wiele przekształceń związanych ze zmianami w sposobach edukacji ogłaszanych przez państwo. Dzisiaj I LO w Jeleniej Górze zaliczane jest do najlepszych placówek Dolnego Śląska. Wynika to z zaangażowania kadry nauczycielskiej, ale także z nastawienia samych uczniów. Wystarczy wspomnieć, że zdawalność egzaminów maturalnych często oscyluje w granicach maksimum.

Uczestnicy naszego spaceru zostali oprowadzeni po szkole przez dr Jolantę Ryglewską, która przybliżyła nam okazjonalną wystawę ukazującą m.in. kształtowanie administracji polskiej w okresie powojennym, kiedy to urzędnicy polscy po kolei przejmowali poszczególne obiekty spod kurateli wojska radzieckiego. Pierwszym powojennym starostą jeleniogórskim mianowano Wojciecha Tabakę. Od razu zaczęto zmieniać nazwy ulic i placów na polskie i by pokazać, że administracja polska już działa, wywieszano na budynkach polskie flagi. Już w roku szkolnym 1945/46 uruchomiano kolejne szkoły, zarówno podstawowe, średnie, jak i zawodowe. Pierwsze Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące rozpoczęło rok szkolny 2 września 1945 roku. Początkowo dyrektorem placówki był Stanisław Maciukiewicz, następnie Maksymilian Tazbir. Niestety, w historii szkoły miały miejsce także wydarzenia, które nie powinny się nigdy wydarzyć. Jedną z działających wówczas organizacji niepodległościowych – Orłęce Oddziały Bojowe – założoną przez ucznia Antoniego Chylińskiego prowadząca działalność propagandową sprzeczną z oficjalnie uznawanym nurtem politycznym została zdekonspirowana i w roku 1949 aresztowano jej członków. Po pokazowym procesie przed Wojskowym Sądem Rejonowym wszystkich skazano na kary długoletniego więzienia. Innym tragicznym wydarzeniem z powojennej historii szkoły była śmierć ucznia Janusza Barana zastrzelonego przez żołnierzy sowieckich za nie podporządkowanie się próbie odebrania mu roweru.



Niektórzy uczęszczający do szkoły uczniowie w późniejszych latach zapisali się w historii różnych dziedzin jako wybitne jednostki. I tak w latach 1946-1949 uczyli się tutaj Andrzej Zawada, Stanisław Bareja i Jerzy Kosiński.

Andrzej Zawada (1928-2000) określany jest pionierem himalajizmu zimowego. W 1974 roku, jako pierwszy człowiek na świecie (wraz z Andrzejem Heinrichem), przekroczył zimą barierę 8 tysięcy metrów nad poziomem morza, wchodząc na Lhotse. Kolejnym jego wyczynem (wraz z Krzysztofem Wielickim i Leszkiem Cichym) było w 1980 roku wejście na Mount Everest. Było

to pierwsze zimowe wejście na najwyższy szczyt Ziemi.

Stanisław Bareja (1929-1987) – reżyser, scenarzysta filmowy, aktor. Znany przede wszystkim jako twórca filmów i seriali komediowych oraz kryminałów.

Jerzy Kosiński (1933-1991) – pisarz pochodzenia żydowskiego urodzony jako Józef Lewinkopf. Najbardziej znaną jego powieścią jest „Malowany ptak”.

Jednym z nauczycieli był Józef Sykułski (1905-1994), autor wielu publikacji o regionie. Napisał m.in. kontrowersyjną pozycję „Liczyrzepa, zły duch Karkonoszy i Jeleniej Góry”.



Prezentowana w szkole wystawa przybliży wiadomości o życiu kulturalnym w Jeleniej Górze tuż po wojnie, o pierwszych polskich czasopiśmie, o pierwszych zakładach rzemieślniczych, ale także o rozwoju sportu i turystyki. Już we wrześniu 1945 roku w Przesiece powstało Dolnośląskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Pozwoliło to na zapobieżenie dewastacji obiektów turystycznych. Uratowano wtedy wiele schronisk górskich.

Trzeba przyznać, że w szkole dba się o pamięć osób z nią związanych. Na korytarzach szkolnych znajduje się wiele tablic im poświęconych.

Największe jednak wrażenie na nas wywarła aula. To wielkie pomieszczenie, w którym odbywają się wszystkie uroczystości szkolne. Jego wyposażenie jest bardzo intrygujące. Ładne witraże, portret Stefana Żeromskiego, scena i dodatkowe miejsca dla publiczności na balkonach. Ciekawe ozdoby umieszczone na suficie. Wizerunki widoczne w plafonach przedstawiają m.in. filozofię będącą źródłem wszelkich nauk, chwałę postępu techniki czy szlachetnej rywalizacji na polu sportu i nauki.

Na koniec naszej wizyty w szkole pozwoliliśmy sobie wykonać kilka pamiątkowych zdjęć. Okazało się, że spora grupa osób była absolwentami liceum, jedna zaś osoba była tu nauczycielem.

W drugiej części spaceru zaprowadziłem wszystkich na Skwer PTTK „Sudety Zachodnie”, gdzie przedstawiłem wizję jego rewitalizacji oraz odniosłem się do historii działalności naszego Oddziału PTTK na przestrzeni osiemdziesięciu lat.

Kończąc relację z kolejnego spaceru, dziękuję pani dr Jolancie Ryglewskiej za oprowadzanie po szkolnych zakamarkach i bardzo ciekawą opowieść, a wicedyrektor szkoły pani Małgorzacie Krynickiej za umożliwienie nam odwiedzenia tej wyjątkowej placówki oświatowej.

Krzysztof Tęcza

Tydzień z muzeum – dzień czwarty

Z okazji 30-rocznicy działalności Muzeum Carla i Gerharta Hauptmannów w Szklarskiej Porębie zorganizowano pięć tematycznych wycieczek związanych z profilem zbiorów muzealnych. Wszystkie wycieczki poprowadził ich pomysłodawca Krzysztof Tęcza.

Tematem czwartej wycieczki byli Walończycy, czyli poszukiwacze rud i minerałów. Pierwsi poszukiwacze „skarbów” przybyli w rejon Gór Olbrzymich w XII wieku. To oni lokalizowali kolejne złoża rud wartych eksploracji. Swoje odkrycia oznaczali znakami walońskimi zrozumiałymi tylko dla wtajemniczonych. Z czasem zaczęto je zapisywać w księgach walońskich. Jeśli chodzi o Szklarską Porębę, to ich siedziba znajdowała się w Starej Wsi, czyli dzisiejszej Szklarskiej Porębie Dolnej. To właśnie stamtąd wyruszali na swoje poszukiwania. Ponieważ w tamtym okresie nasze góry wyglądały nieco inaczej, zapuszczenie się w dzikie ostępy zawsze było zagrożeniem dla życia udających się tam śmiałków. Dlatego każde takie wyjście było poprzedzone specjalnym rytuałem. Najpierw wyruszający w góry pościli przez tydzień oraz uczestniczyli w mszy celebrowanej w kaplicy przy Orlej Skale. Następnie udawali się pod Chybotek, gdzie żegnali się i wyruszali każdy w inną stronę świata. Symboliczne pożegnanie wcale nie było zwykłym gestem. Góry były wtedy na tyle niebezpieczne, że wielu z nich nie wracało już do domu, kończąc w nich swój żywot.

Z czasem Walończycy zniknęli z naszego otoczenia, aż w 1999 roku 19.09. o godzinie 19 minut 19 powołano do życia Sudeckie Bractwo Walońskie. Organizacja ta miała na celu kultywowanie tradycji walońskich. Działania ich członków doprowadziły do powstania działu przemysłu polegającego na pozyskiwaniu, obróbce i sprzedaży kamieni ozdobnych. Działania te w krótkim czasie doprowadziły do tego, że Szklarską Porębę okrzyknięto mineralogiczną stolicą Polski.

Założycielem i pierwszym Wielkim Mistrzem Walońskim był Juliusz Naumowicz. Niestety, nie ma go już z nami. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Szklarskiej Porębie, a jego pogrzeb był niezwykle uroczysty. Dość wspomnieć, że po mszy kondukt żałobny udał się na miejsce spoczynku Wielkiego Mistrza, stąpając po rozsypywanych przez członków Bractwa kamieniach ozdobnych.

Dzisiaj Wielkim Mistrzem Walońskim jest Anna Naumowicz prowadząca Muzeum Ziemi – Juna, w którym każdy może nie tylko dowiedzieć się, jaki kamień pasuje do niego, ale także obejrzeć galerię czy zapoznać się z historią dotyczącą pozyskiwania ich w naszym regionie w działającym tam muzeum.



Dodam tylko, że wspomniane Chybotek, jako miejsce magiczne, do dzisiaj jest wykorzystywane przez bractwo w celu spotkań, podczas których kandydaci na walończyków są poddawani próbom ognia, ziemi, dymu i wody. Oczywiście, do bractwa należą także panie określane tutaj mianem wiedźm walońskich. Nazwa ta nie jest dla pań obraźliwa, gdyż słowo wiedźma podkreśla olbrzymią wiedzę każdej poddawanej próbie kandydatki. A trzeba wiedzieć, że takie próby nie są pozbawione ryzyka. Kandydatka na wiedźmę musi m.in. włożyć rękę do worka ze żmiją. Nigdy nie wiadomo, kto przeżyje!

Po wprowadzeniu w tajniki walońskie poprowadziłem uczestników wycieczki do najbardziej pożądanego przez każdego turystę miejsca, jakim jest sztolnia pirytu. To właśnie tam wydobywano piryt potrzebny do produkcji kwasu siarkowego w zakładach zwanych witrioletniami. Tam też nieznający się na fachu wydobywali złoto, tyle że było to „złoto głupców”. Dzisiaj sztolnia, mimo iż od wielu lat nie wydobywa się tutaj urobku, budzi szacunek dla pracujących w niej górników. Podczas penetrowania jej należy jednak zachować szczególną ostrożność.

Ponieważ chętnych na dzisiejszą wycieczkę było bardzo dużo, poprowadziłem trasę dwukrotnie. Z pierwszą grupą ze sztolni udałem się na „Wielki zakręt”, gdzie mieliśmy okazję podziwiać widoki z nowego tarasu widokowego oraz sprawdzić, jak wyglądają tunele minerskie wykonane pod drogą. Natomiast z drugą grupą od sztolni udaliśmy się na Zbójckie Skały, by tam podziwiać Karkonosze.

Młodzież z Wielkopolski była oczarowana pięknem naszych gór, a przy okazji mogła sprawdzić miejsca, które odwiedziła w dniach poprzednich.

Krzysztof Tęcza



Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (54)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 5 grudnia:

Skrzypała walczy o polski język w kościele

Na prowincjonalnym synodzie śląskich protestantów we Wrocławiu 5 grudnia 1844 r. Skrzypała przemawiał: „Dobro moich braci w Chrystusie szczepu słowiańskiego mając na uwadze wnoszę o większe odą od uwzględnienie ich potrzeb religijnych i kościelnych, a to pod trojakim względem: 1. co do obsadzania probostw, 2. co do ścięśnienia nabożeństw, 3. co do opatrzenia szkół. Nawet wówczas, kiedy tylko mała część gminy jest polską, nie wolno zaniechać nabożeństwa polskiego ani całkiem jej odejmować sposobności zbudowania się w świątyni Pańskiej... Bo jedynie mowa ojczysta przemówić może do serca”...

Synod wrocławski nie tylko przyjął wniosek Skrzypały przez akklamację, lecz wyraził nadto po jego referacie życzenie, aby „dzieci polskie mogły całkowitą naukę otrzymywać w języku ojczystym”.

Co z tą uchwałą zrobił rząd pruski, wiemy, ale wiemy też, że jeszcze w 1884 roku w 57 śląskich kościołach protestanckich odbywały się kazania w języku polskim!

Pod datą 6 grudnia:

Kolonizacja Śląska i lokacja miast dolnośląskich

Początki kolonizacji niemieckiej na Śląsku wiążą się z faktem założenia przez Bolesława Wysokiego klasztoru w Lubiążu, obok czego jest ona związana z wchodzeniem w związki małżeńskie księżąt śląskich z księżniczkami niemieckimi. Bogate tereny Śląska nęciły chciwych Niemców, osiedlali się więc oni na nich chętnie, ale zawsze byli źle widziani przez polską ludność tubylczą. Nie tylko jednak Niemcy kolonizowali terytoria Śląska, kolonistami byli tu i Polacy z terenów bardziej zaludnionych. Tak na przykład biskup wrocławski Tomasz I 6 grudnia 1248 r. daje rycerzowi Wrociwojowi 40 wielkich łanów w puszczy nysko-otmuchowskiej celem skolonizowania, ale nie przez Niemców, tylko przez Polaków.

Spotykany poprzednio termin „lokacja” oznacza przemienienie miejscowości, najczęściej z grodu, na prawa miejskie, co znów trzeba odróżnić od miejskich przywilejów, wynikających z prawa średniego. Książęta powierzali lokację tak zwanym lokatorom, którym wystawiali przywilej lokacyjny.

Pod datą 11 grudnia:

Aeroklub jeleniogórski pracuje i dla bliźnich

Istnieje on od 1945 r. Zrzesza szerokie koła młodzieży, pilotów i sympatyków. Posiada własne szybowisko w Jeżowie Sudeckim i lotnisko w Jeleniej Górze oraz prowadzi bogato wyposażoną szkołę modelarstwa szybowcowego. Dysponuje dwoma samolotami szkolnymi typu P.O.2, jednym treningowym typu Piper-Club, dwoma szybowcami szkolnymi typu S.G.38 i pięcioma szybowcami treningowymi typu Grunau-Baby, jednym „wyczynowym” typu Minimoa oraz dwumiejscowym typu Żuraw.

W Jeżowie Wydział Komunikacyjny Urzędu Wojewódzkiego Wrocławskiego posiada warsztaty szybowcowe, które przystąpiły do seryjnej produkcji szybowców: do końca 1947 r. skonstruują ich około 50, w cenie po 200.000 zł.

Gdy w dniu 4 października 1947 r. Polskie Radio zaapelowało do słuchaczy, posiadających zastrzyki przeciw zatruciu trychinami, dla ośmiu osób z Inowrocławia, aptekarz N. ze Świerzawy usłyszawszy ten komunikat, wysłał natychmiast posiadane zastrzyki do Jeleniej Góry, skąd członkowie miejscowego Aeroklubu, piloci-konstruktorzy Ob. Ob. Czesław Chochorowski i Mieczysław Szlegiel, mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, zawieźli je samolotem do Inowrocławia, aby w ten sposób ratować życie rodaków.

Józef Sykulski
Wybrał: Janusz Fuksa



Spotkanie z Rafałem Fronią

24 października 2025 roku w Galerii Handlowej „Nowy Rynek” miało miejsce spotkanie z jeleniogórczaninem Rafałem Fronią. Przybyli goście wypełnili po brzegi salę na co dzień przeznaczoną dla młodych ludzi chcących sensownie spędzić wolny czas. Sala o nazwie *Spotkanko* powstała z inicjatywy Monaru i Galerii „Nowy Rynek”. Tym jednak razem spotkanie przeznaczone dla wszystkich było pierwszym z nowego cyklu „Fajni Lokalni”. W zamyśle są to comiesięczne bezpłatne spotkania z osobami z regionu o władniętymi różnego rodzaju pasjami.

Pierwszym gościem był Rafał Fronia – znany wszystkim jako himalaista i autor książek o górach. Tak jednak nie jest. Rafał to także biznesmen, właściciel wydawnictwa PLAN. Niemal wszyscy chodzący po górach, ale nie tylko, używają map wydawanych właśnie przez jego wydawnictwo.

Tym razem rozmowę poprowadziła Gabriela Stefanowicz, dziennikarka radiowa i telewizyjna, również doskonale znana w naszym mieście. Na dobry początek, ponieważ Rafał właśnie miał imieniny, otrzymał od Marty Majer blachę „Przewodnika po Bukowcu”.

Rafał, odpowiadając na pytania, odsłaniał swoje fascynacje górami. Zwłaszcza Karkonoszami, także Jelenią Górą, słusznie zauważając, że nasze miasto wbrew temu co o nim sądzą niektórzy, jest bardzo ciekawym organizmem miejskim z bogatą historią. Posiada wiele zabytkowych budowli i miejsc owianych tajemnicą. Oczywiście, nie wszyscy muszą tak odbierać nasz gród, ale dla niego jest on absolutnie wspaniały. I słusznie, sam też podzielam ten pogląd.

Rafał pytany o swoją fascynację Bukowcem i Redenem zdradził, co było bardzo miłe, że w tym jego zauroczeniu piszący te słowa miał swój udział. Faktycznie, pracując w Związku Gmin Karkonoskich, zdradzałem Rafałowi wiele sekretów i pokazywałem tajne miejsca kryjące się w pałacowych komnatach czy podziemiach.

Wracając jednak do rozmowy, miało być o Karkonoszach. Niestety, przy takich osiągnięciach Rafała (m.in. wejście na ośmiotysięczniki: Gasherbrum II, Lhotse, Broad Peak czy uczestnictwo w narodowej



wyprawie na K2) nie da się w żadnej rozmowie pominąć wątku gór wysokich. Również i teraz Rafał musiał odnieść się do tamtych wejść, do przeżyć z nimi związanych. Oczywiście, nikt nie miał za złe tych wypowiedzi, gdyż Rafał, ile razy by nie powtarzał swoich opowieści, zawsze robi to ze smakiem i bardzo sugestywnie. Warto zatem za każdym razem wysłuchać jego opowiadań.

Wracając jednak do głównego tematu spotkania, czyli Karkonoszy, a właściwie „Karkonoskich fascynacji” Rafała Froni to pokazane slajdy z naszych gór zauroczyły wszystkich obecnych. Raz, że Rafał, chodząc po Karkonoszach niemal codziennie,



wiele razy miał okazję zrobić unikatowe zdjęcia występujących tutaj zjawisk atmosferycznych. Najbardziej pożądanym przez turystów jest ujrzanie Widma Brockenu. Przesąd mówi, że gdy ujrzy się je po raz pierwszy, zwiastuje to rychłą śmierć w górach. Aby tak się nie stało, trzeba ujrzeć je po raz drugi. Nie wiadomo, dlaczego niektórzy uważają, że każde nieparzyste widmo ponownie zwiastuje śmierć. Wcale tak nie jest. Trzecie i każde kolejne spotkanie się z tym zjawiskiem nie skutkuje już niczym w życiu „górołaza”.

Rafał przyznał, że tak jak większość ludzi chodzących po górach, a zwłaszcza górach wysokich, został romantykiem; zauroczył się górami,

widokami, ich tajemniczością. Bo przecież normalny człowiek, „dotykając” takiego piękna, nie może przejść obok niego obojętnie. To piękno musi odcisnąć się na jego duszy, czasami ciele. Jednak w jego wypadku, kiedy wybiera się w świat, by przejść kolejne pasma górskie czy zdobyć jakiś szczyt, doszło do takiego momentu, że stwierdził, iż „jego – nasze” Karkonosze są najpiękniejsze i zawsze warto do nich wracać. Ja dodam, że właśnie tak jest i to jest właściwe odczucie człowieka mieszkającego tutaj i chodzącego po Karkonoszach.

Rafał na poparcie swoich słów pokazał wiele pięknych zdjęć ukazujących Górę Olbrzymie w różnych porach roku, bo przecież każda pora roku jest inna, a zatem i krajobraz jest inny. Ale jaki by nie był, zawsze wprawi nas w zachwyt. Oczywiście, trzeba uważać jak się chodzi po górach, trzeba być do tego odpowiednio przygotowanym i wyposażonym. Trzeba także mieć chociaż podstawowe umiejętności przemieszczania się w terenie górskim, zwłaszcza w okresie zimy.

Góry to jednak nie tylko piękne widoki. Rafał pokazał, że o wiele bardziej jego wyobraźnię poruszają zjawiska atmosferyczne. Wielokrotnie zmieniający się obraz nieba nie tylko jest pełnym zaskoczeniem, ale zawsze jest nieprzewidywalny. Tak jak widok danej góry, łąki, grzbietu możemy sobie wyobrazić, tak tego, co dzieje się na niebie, nawet w najsmielszych wizjach nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Zawsze jest to dla nas zaskoczenie. Ale zawsze jest to niepojęte piękno pobudzające nasze zmysły. Chociaż czasami pogoda potrafi przywołać nas do porządku. Nie ma co wtedy szarżować, tylko szukać schronienia.

Rafał przywołał tu swoje wejścia na Snieżkę, których ma setki. Często wbiega na szczyt, by zobaczyć na wschód słońca. Ale utrafić na odpowiedni moment, wcale nie jest tak prosto. Bo wystarczy spóźnić się dosłownie o kilka minut i już jest po wszystkim. Powie ktoś, to przyjdź nieco wcześniej. Jak się jednak okazuje, nie zawsze jest to prawdą. Bo w zimie, gdy wejdzie się na szczyt zbyt wcześnie, to ujemna temperatura i wiejący wiatr spowodują, że zanim wstanie słońce, zamarznie. Tak więc wszystko musi być zgrane w czasie.

Rafał Fronia doszedł już do wniosku, że nie ma na świecie nic piękniejszego jak Kotlina Jeleniogórska. Dlatego wciąż mieszka tutaj. Tutaj wędruje, biega, jeździ na rowerze, fotografuje. Jednym słowem chłonie otaczające go piękno. Bo tak naprawdę jego fascynacja to nie tylko Karkonosze, to także pozostałe pasma Sudetów. To Góry Sokole, to Kotlina Jeleniogórska. To obiekty małej architektury spotykane na łąkach i w lasach. To piękne łąki, to pasące się na nich koniki. To także historia. Bo czyż nie jest czymś pięknym przyjęcie uchodźców religijnych z Tyrolu, którzy pozostawili po sobie wyjątkowej urody domostwa. Ale to także cmentarze ze starymi nagrobkami. Często zaniedbane, chociaż ostatnio coraz częściej przywracane do „życia”.

Rafał przywołał, a jakże, ducha gór. Jak wiadomo, w górach zawsze rządzi jakiś duch. W górach wysokich również. Nawet na Mont Evereście mieszka Czomolungma. W naszych Karkonoszach mieszka Karkonosz. To on tutaj rządzi, to przed nim trzeba czuć respekt, to jego trzeba szanować.

Rafał przybliżył nam także okres tworzenia opowieści o Redenie. Wszystko zaczęło się w trakcie pandemii. To wtedy, kiedy nie można było wychodzić z domu, zaczął przelewać na papier swój pomysł. Ponieważ pandemia przeciągała się w czasie, nie mając nic innego do roboty, Rafał pisał i pisał. Tak, że książka pęczniała. W końcu trzeba było zrobić z niej trzy tomy. Jednak po licznych redakcjach powstał kolejny czwarty tom, w którym Rafał zawarł historię uchodźców religijnych, którzy pod przywództwem Johana Fleidla przybyli tu z Tyrolu. I tak powstała chyba jedyna w historii trylogia w czterech tomach.

Oczywiście, Rafał rozwinął wątek hrabiego Fryderyka von Redena, który u nas stworzył pierwsze założenie romantyczne. Powstały wówczas park krajobrazowy był wzorcem dla innych możliwych tego świata. To właśnie dzięki jego wizji i pracy zawdzięczamy piękno parków otaczających sąsiednie pałace. Również jego żona Fryderyka von Reden była niezwykłą kobietą. To właśnie jej zawdzięczamy, że świątynia Wang zamiast pod Berlinem została ustawiona w Karpaczu Górnym. Również Herbaciarnia wzniesiona na wzgórzu w parku przez hrabiego dla ukochanej żony to dzieło niezwykle. Panorama Karkonoszy widoczna z tego obiektu jest tak piękna, że nie ma człowieka, który by jej się oparł.

Rafał odniósł się również do aktywności fizycznej, jaką uprawia. Bo przecież po górach nie tylko się chodzi. Po górach również się biega, jeździ rowerem czy wspina. Można także po prostu siedzieć gdzieś na grzbiecie i podziwiać widoki. Trzeba jednak pamiętać, że góry rządzą się swoimi prawami. To nie spacer po parku miejskim. Czasami zdarzają się wypadki. I aby ich nie było, należy chodzić po górach rozważnie. By nie być gołosłownym, przypomniał, że pod szczytem Snieżki znajduje się krzyż upamiętniający ratowników górskich, którzy mimo iż bardzo doświadczeni, zostali tam na zawsze. W Kotle Łomniczki utworzono symboliczny cmentarz upamiętniający ludzi, którzy również stracili życie w górach.

Podsumowując spotkanie, powiem, że po słowach Rafała Froni chyba nie ma osoby, która powie, że nasz region, Kotlina Jeleniogórska, Sudety Zachodnie nie jest ciekawy, nie jest ładny. On jest zachwycający, on jest przepiękny. Nasza ocena zależy, tak jak często się zdarza, od naszego pierwszego kontaktu. Jak powiedział Rafał Fronia: kto pójdzie pierwszy raz w góry, ten albo całe życie będzie w nie chodził, albo pod razu powie, że to nie jest jego bajka. Na szczęście tych pierwszych jest więcej.



Krzysztof Tęcza

Ojciec geologii polskiej

Stanisław Wawrzyniec Staszic zasłużył się na wielu polach, zaliczany jest do jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego Oświecenia, powszechnie uznawany za ojca geologii polskiej.

Urodził się 6 listopada 1755 r. w Pile, gdzie jego ojciec był burmistrzem. Uczęszczał do Kolegium Jezuitów w Poznaniu. Po ukończeniu seminarium duchownego uzyskał święcenia i w roku 1779 został duchownym. Dalsze wykształcenie pozyskał w latach 1779–1781 we Francji – nauki fizyczne i przyrodnicze w Collège de France i Niemczech – w Lipsku i Getyndze. W tym okresie poznał i odwiedził Alpy i Apeniny. Rok później (1782) otrzymał doktorat obojga praw Akademii Zamojskiej i tamtejszą katedrę języka francuskiego (do roku 1784).

Był pierwszym polskim badaczem Tatr, a zarazem jednym z pionierów taternictwa. W sierpniu 1805 r. wyruszył na wyprawę geologiczną w Tatry, podczas której wszedł na Krywań i Łomnicę (21 sierpnia 1805 r. – pierwsze wejście na szczyt).

Wyniki swoich badań w Karpatach opisał w dziele „O ziemioródtwie Karpatów i innych gór i równin Polski” należącym do klasyki literatury tatrzańskiej. Zamieścił w niej mapę geologiczną Polski i krajów sąsiednich będącą pionierskim opracowaniem w tej dziedzinie. Publikacja była powszechnie cytowana nie tylko przez naukowców, więcej, nawet dzisiaj może być cennym źródłem porównawczym. Wydana została drukiem w 1815 r., ale zanim do tego doszło, to swoje opisanie Karpat przedstawiał na posiedzeniach naukowych, a zebrane w dziewięć prac wydrukowane zostały w „Rocznikach Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk”. Należy wspomnieć, że tytuł był wówczas trochę inny: „O ziemioródtwie gór dawniej Sarmacji a później Polski”.

Staszic był jednym z czołowych reformatorów i uczonych polskiego Oświecenia. Filozof, głoszący monistyczną koncepcję rozwoju świata. Przypomnę tylko, że przeciwieństwem monizmu jest pluralizm (wielorakość) i dualizm (dwoistość). Działał na rzecz poprawy położenia chłopów.

W celach naukowych podróżował po kraju (1798–1799), prowadząc badania geologiczne i geograficzne. Gdy po roku 1795 Polska została wymazana z mapy Europy, zajął się pracą naukową i działalnością na rzecz rozwoju gospodarczego kraju. Był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, pełnił wiele innych ważnych funkcji, aż w 1824 r. został ministrem Stanu Królestwa Polskiego. W roku 1816 założył Szkołę Akademiczno-Górnictwą w Kielcach i Instytut Agromiczny w Marymoncie. Okazał się pionierem spółdzielczości w Polsce, zakładając Hrubieszowskie Towarzystwo Rolnicze. W 10 wsiach dóbr hrubieszowskich, których był właścicielem, zniósł pańszczyznę i przekazał chłopom ziemię na własność, zobowiązując ich do wnoszenia opłat na cele gminne oraz wpłacania czynszu do kasy towarzystwa.

Odegrał ważną rolę w rozwoju przemysłu, działając jako geolog i badacz natury. W 1825 roku opublikował informacje o Górach Izerskich i Karkonoszach. Jako dyrektor generalny Wydziału Przemysłu i Kunsztów Królestwa Kongresowego w latach 1816–1824 przygotował plan rozbudowy Staropolskiego Okręgu Przemysłowego. Wznosił eksploatację węgla kamiennego ze złoża Reden na terenie dzisiejszej Dąbrowy Górniczej.



Stanisław Staszic



Medal z podobizną Staszica (1926)

Z inicjatywy Staszica powstało wiele obiektów przemysłowych, m.in. pierwsze w Królestwie Polskim (1816–1822) cztery huty cynku o wspólnej nazwie „Konstanty” oraz ośrodki hutnictwa żelaza.

Ksiądz filantrop, powszechnie uznawany i ceniony, nawet w testamencie zadbał o szpital Dzieciątka Jezus, przeznaczając darowiznę na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, Instytut Głuchoniemych, na budowę Domu Przytułku i Pracy, na opłacanie wiejskich mamek.

Tajemnicą poliszynela jest to, że lubił teatr, na przedstawienia chodził w przebraniu, dziwiąc się wielce, że jest rozpoznawany. Jeszcze mniej wiadomo, skąd dorobił się znaczącego majątku, najbliżsi wiedzieli... miał talent do gry giełdowej, inwestował i pomnażał pieniądze na giełdzie szwajcarskiej.

Towarzystwo Tatrzańskie uznało jego zasługi dla poznania Tatr i spopularyzowania ich w społeczeństwie, nadając w 1875 roku schronisku przy Morskim Oku jego imię.

Zmarł w Warszawie 20 stycznia 1826 r. Został pochowany przy pokamedulskim kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny na warszawskich Bielanach. W pogrzebie duchownego uczestniczyło ponad 14 tys. osób. Podczas pogrzebu wykonano utwory Józefa Elsnera, w którego dorobku jest utwór dedykowany Staszicowi: *Kantata z wierszem polskim, przypisana ministrowi Staszicowi, na 5 głosów wraz z pięciogłosowym kanonem dla użytku Szkoły Muzycznej Konserwatorium, bez towarzyszenia*. Przez niemal cztery lata po jego śmierci grób był miejscem spotkań warszawskiej młodzieży i członków ruchów patriotycznych.

Imieniem Staszica nazwano staw w Tatrach i górę na Spitsbergenie (prowincja norweska Svalbard). Kopalnia Soli „Wieliczka” upamiętniła Staszica, nazywając jego imieniem komorę znajdującą się na trasie przeznaczonej do zwiedzania. Od jego nazwiska utworzono nazwy kilkunastu skamieniałości i minerału staszycytu. Od 1889 roku we Lwowie działało Towarzystwo imienia Stanisława Staszica, które wydawało książki o tematyce historycznej, politycznej i społecznej.

Został odznaczony 31 lipca 1818 r. Orderem Orła Białego. W Królestwie Kongresowym został kawalerem Orderu Świętego Stanisława I klasy.

Z ciekawostek numizmatycznych należy odnotować, że w 1992 roku wyemitowano z jego wizerunkiem monetę kolekcjonerską o nominale 200 000 zł. Moneta została wykonana ze srebra próby 750 w nakładzie 20 000 egzemplarzy, miała średnicę 32 mm i wagę 16,5 g, rant gładki. Wizerunek Staszica widniał również na banknotach o nominale 50 000 złotych będących w obiegu w latach 1989–1994.

Zaniedbany grób Staszica został wyremontowany dzięki staraniom rektora Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, prof. Ryszarda Tadeusiewicza oraz Stowarzyszenia Wychowanków AGH. Odświeżenie odnowionego pomnika nagrobnego odbyło się 1 grudnia 1999 r.

Szkic ten napisałem, gdy w miniony dopiero Dzień Zaduszny spostrzegłem, że blisko tegoż święta minęła 270. rocznica urodzin Stanisława Staszica.



Pomnik Staszica w holu AGH



Grobowiec Stanisława Staszica na Bielanach

Ku pamięci Jerzego Wilhelma, księcia legnicko-brzesko-wołowskiego



Trzysta pięćdziesiąt lat temu, 21 listopada 1675 roku, odszedł do domu Pana Jerzy Wilhelm, książę legnicko-brzesko-wołowski – ostatni z rodu Piastów śląskich. Był on dwudziestym dziewiątym pokoleniem w linii męskiej, a zarazem jej ostatnim przedstawicielem. Wraz z jego śmiercią zakończyły się ponad siedemsetletnie dzieje dynastii, która ukształtowała historię Śląska.

Ciekawostką jest, że w tym samym roku Johann Anton Schaffgotsch, jako najbliższy krewny zmarłego księcia, otrzymał cesarski przywilej połączenia herbu Schaffgotschów z herbem Piastów legnicko-brzeskich. Powstała w ten sposób osobliwa anomalia heraldyczna – nad tarczą herbową umieszczono książęcą koronę, choć sam ród Schaffgotschów posiadał wówczas jedynie tytuł baronów, a później hrabiów. Warto jednak przypomnieć, że w dziejach tej rodziny znalazł się również jeden książę – Philipp Gotthard von Schaffgotsch, biskup wrocławski.

Jerzy Wilhelm był synem księcia Chrystiana legnicko-brzeskiego i księżnej Ludwiki Anhalckiej z rodu książąt z Anhalt-Dessau. Jego ojciec, przebywający przez wiele lat na terenie ówczesnej Rzeczypospolitej podczas wojny trzydziestoletniej, rozważał – po abdykacji króla Jana Kazimierza – możliwość ubiegania się o tron polski.

Młody Jerzy Wilhelm dorastał w atmosferze wysokiej kultury i nowożytnej edukacji. Od najmłodszych lat pobierał

nauki w zakresie arytmetyki, fizyki, astronomii, teologii, filozofii i retoryki, a także doskonalił się w jeździe konnej, fechtunku i tańcu. Był osobą wszechstronnie wykształconą i posługiwał się biegle kilkoma językami – niemieckim, francuskim, łaciną, włoskim i hiszpańskim – co czyniło go człowiekiem Europy swoich czasów.

Po śmierci swoich wujów, Jerzego III brzeskiego i Ludwika IV legnickiego, został jedynym spadkobiercą i władcą całego księstwa legnicko-brzeskiego.

14 marca 1675 roku, w wieku zaledwie piętnastu lat, złożył w Wiedniu uroczysty hołd lenny cesarzowi Leopoldowi I Habsburgowi, czym formalnie objął rządy nad dziedzicznym księstwem. Młody książę zrobił wówczas na dworze cesarskim znakomite wrażenie, a jego postawa zapowiadała pomyślną przyszłość Śląska pod jego panowaniem.

Los jednak zdecydował inaczej.

Zaledwie kilka miesięcy po objęciu władzy Jerzy Wilhelm zmarł nagle. Znan z zamiłowania do polowań, w dniu św. Huberta uczestniczył w tradycyjnym łowisku na jelenie, podczas którego nabawił się wysokiej gorączki. Osłabionego księcia przeniesiono do chłopskiej chaty we wsi Gross Neudorf (dzisiejsza





Kościerny), gdzie – jak głoszą przekazy – od dzieci gospodarzy zaraził się ospą.

Przewieziono go do zamku w Brzegu, gdzie mimo prób ratowania życia raniem 21 listopada 1675 roku zmarł.

Tak zakończyło się życie i nadzieja młodego władcy – ostatniego Piasta śląskiego.

Piętnastoletni książę został pochowany w kościele św. Jana w Legnicy, gdzie jego sarkofag spoczywa do dziś. Na polecenie matki, księżnej Ludwiki z Anhaltu-Dessau, świadomej doniosłości tej śmierci, wzniesiono w Legnicy Mauzoleum Piastów, które stało się miejscem

spoczynku Jerzego Wilhelma, jego ojca Chrystiana i samej fundatorki.

Po śmierci księcia księstwo legnicko-brzeskie zostało włączone do domeny cesarskiej, natomiast księstwo wołowskie pozostało w rękach księżnej Ludwiki aż do jej śmierci w 1680 roku.

Wspomnienie po 350 latach

W niedzielę, 8 listopada bieżącego roku, na legnickim Rynku herold obwieścił zgromadzonym słowa:

„Otwórzcie tedy serca wasze i przywitajcie księcia swego! Wesele po nim odradza się, nadzieja i chwala naszego księstwa.”

Tymi słowami rozpoczęła się inscenizacja przypominająca dawne czasy i hołd złożony pamięci Jerzego Wilhelma, ostatniego z Piastów śląskich. Herold, jak przed wiekami, ogłosił przybycie księcia w czterech rogach rynku, zapraszając mieszczan i cechy do udziału w uroczystości na zamku.

I tak, po ponad trzech stuleciach i mimo wielu zmian granic i państwowości, pamięć o Piastach śląskich wciąż trwa.

Niech trwa na wieki, amen!

*Zanotował w kronice
Maciej Mischok*



Oczekiwana niespodzianka dla miłośników architektury rezydencjonalnej!

Zgodnie z coroczną tradycją parafia w Kopicach zaprezentowała najnowszą, ekskluzywną edycję kalendarza kolekcjonerskiego na rok 2026. Każdy egzemplarz jest cenną cegiełką, która bezpośrednio wspiera działania konserwatorskie parafii służące ochronie oraz popularyzacji lokalnego dziedzictwa kulturowego.



stokratycznych całego Śląska, jak i Europy.

Jak mówi ksiądz proboszcz Jarosław Szeląg z Kopic: – Tegoroczna edycja z pewnością zaskoczy miłośników architektury i historii regionu!

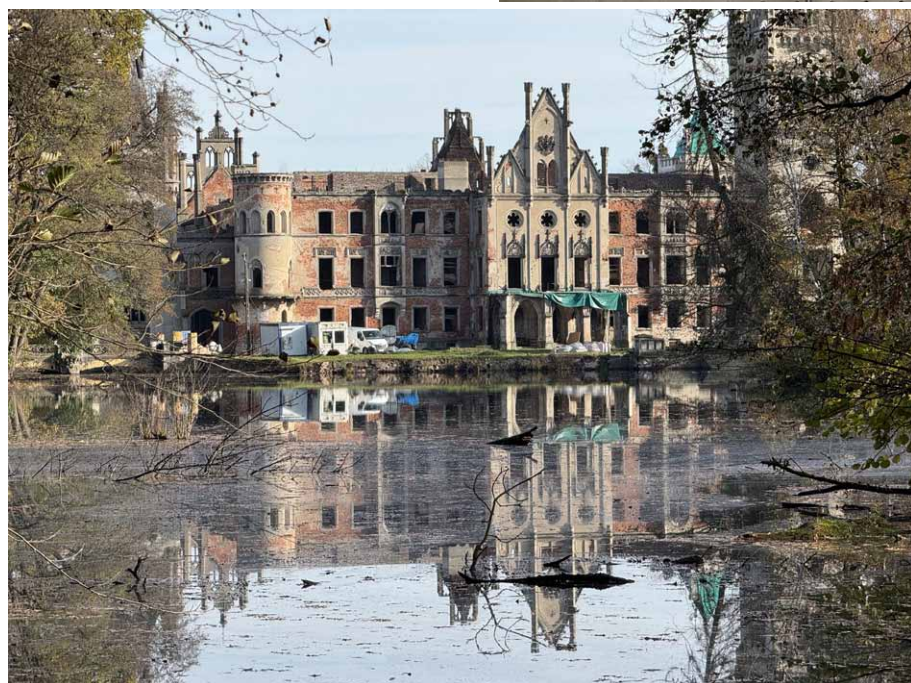
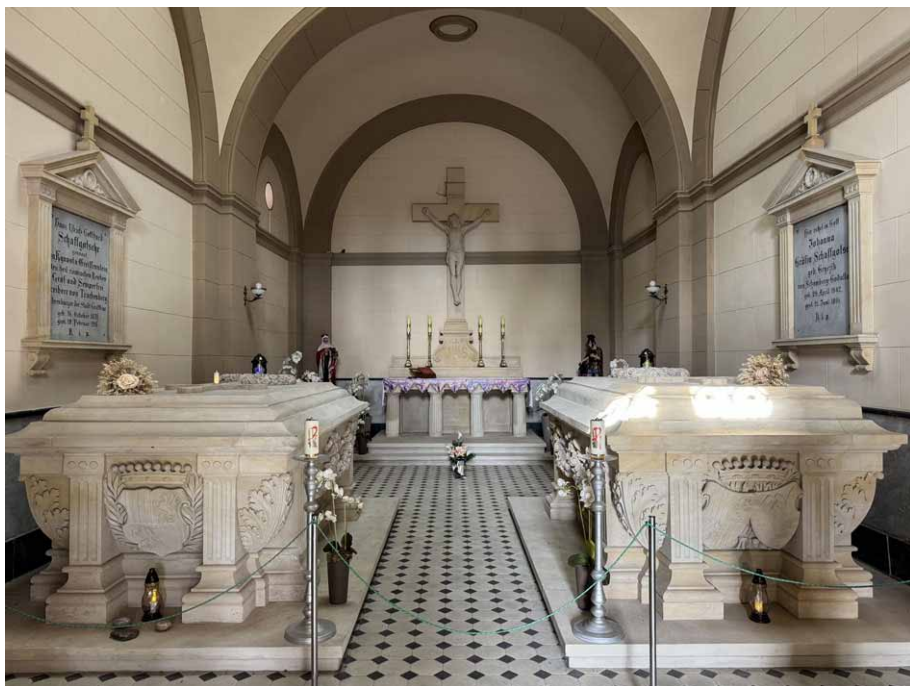
Inspiracją dla kalendarza 2026 stało się monumentalne dzieło Roberta Webera „Schlesische Schlösser” wydane w Dreźnie. To kilkutomowy, niezwykle cenny album dokumentujący nieistniejące już dziś



rezydencje Śląska – prawdziwy pomnik utraconego piękna regionu.

Dodatkową atrakcją tegorocznej edycji jest współpraca z Muzeum Śląska Opolskiego, które – z inicjatywy dyrektora Iwony Solisz – przygotowało wystawę czasową poświęconą pałacowi w Pokoju (dawnemu Karlsruhe), a także innym rezydencjom, w tym tych już utraconych. Wśród przedstawionych obiektów możemy zauważyć min.: Pokój, Turawę, Niemodlin, Sławęcice, Puszynę i oczywiście Kopicę.

Ta niezwykła ekspozycja przypomina dzieje rezydencji książąt wirtemberskich i ich unikalne za-



łożenie urbanistyczno-krajobrazowe, jedno z najbardziej oryginalnych w tej części Europy. Otwarcie wystawy zaplanowano na 6 listopada br.

Serdecznie zapraszamy do wsparcia tej inicjatywy, do odwiedzenia wystawy w Muzeum Śląska Opolskiego, a także do nabycia tegorocznego kalendarza – który, jak zawsze, łączy wartość artystyczną z misją ochrony dziedzictwa kulturowego Śląska.

Jak nadmieniam ks. Szeląg: – Publikacja kalendarza nie byłaby możliwa bez wieloletniego zaangażowa-

nia i wsparcia społecznej Grupy KO-PICE.PL. Kalendarz dostępny jest w parafii w Kopicach oraz w sprzedaży wysyłkowej. Cena pozostaje niezmienną – to symboliczna cegiełka na rzecz zachowania i popularyzacji historii Kopic. A liczba kalendarzy jest limitowana, nie planuje się dodruków.

Maciej Mischok



SUDETY W POEZJI (36)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Roman Drahan

W DRODZE NA ŚLĘŻĘ

Na kamienistym zboczu
stopy wyczuwają daleki przedsmak Alp
jak w kropli potu
słoność morza

Szli pokoleniami
barczystych drwali
hołdować leśnym bogom

Oswajali pożar puszczy sosnowych
pełzający zygzakiem
z sykiem upalnej zimy
w oczyszczającym rytuał
po czubki włosów
wtajemniczeni

Idę powtórzyć widok
który uwolnił się
od tamtych źrenic.

(„W widnokręgu kreta”, 1965)

Roman Drahan (1931-1998), poeta, pedagog. Po wojnie wraz z rodzicami przyjechał do Strzyżowca koło Jeleniej Góry (1945). Uczył się w liceum pedagogicznym w Jeleniej Górze. Maturę uzyskał w liceum ogólnokształcącym we Wrocławiu (1951). Odbił służbę wojskową (1952-54). Debiutował wierszem „Poezja” w *Nowej Kulturze* (1956). Był nauczycielem języka polskiego w Jerzmanowie (1957-65). Jednocześnie zajmował się sadownictwem i pszczelarstwem. Był członkiem Związku Literatów Polskich (1966-83) i członkiem Związku Pisarzy Polskich (od 1989). Otrzymał nagrodę *Peleryny* za najlepszy debiut roku (1965). Wyróżniony tytułem Zasłużony Działacz Kultury (1975), otrzymał medal Budowniczy Wrocławia (1977). Wydał tomiki poezji: „W widnokręgu kreta” (1965), „Miary” (1966), „Oswajanie” (1969), „Kontrapunkt” (1971), „Godziny czuwania” (1976), „Godziny i lata czuwania” (1987).

Wybrał: Janusz Fuksa

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki” przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931